

ANDRZEJ WIERZBICKI  
(Warszawa)

## WOKÓŁ „CZARNEJ LEGENDY” HISTORIOGRAFII KRAKOWSKICH KONSERWATYSTÓW

W opublikowanym w „Kwartalniku Historycznym” (nr 3/4 1995) artykule Henryk Słoczyński przywołał i ocenia stosunkowo bogaty zasób opinii mających składać się na „czarną legendę” krakowskiej szkoły historycznej. Brak reakcji na tę publikację może być poczytany za milczącą aprobatę „środowiska” dla zawartych w niej sądów, a z tym ja, jako jego część (czy choćby tylko odosobniony atom), nie mógłbym się pogodzić. Uważam bowiem, że artykuł ten maluje obraz wykraczający poza współczesne standardy i konwencje historycznej „rekonstrukcji” i dlatego postanowiłem chwycić za pióro. A jako że tekst H. Słoczyńskiego ma formę nieco lżejszą (by nie powiedzieć publicystyczną), również i ja pozwoliłem sobie na taką, przynajmniej w części pierwszej tego, co poniżej.

### I. Stare spory i nowe emocje

#### *Szkoła i pesymizm*

Już na początku wypadałoby wyjaśnić, dlaczego używam określenia „krakowska szkoła historyczna”, określenia, którego sens budzi u H. Słoczyńskiego poważne wątpliwości. Biorą się one z dość już wyeksploatowanych we wcześniejszych dyskusjach i sporach<sup>1</sup> argumentów, że tacy historycy, jak Kalinka, Szujski, Bobrzyński nie mogą być zaliczeni do jednej szkoły, ponieważ nie mieli ani wspólnego mistrza-nauczyciela, ani, co gorsza, wspólnych zapatrywań teoretyczno-metodologicznych. Prawda to niewątpliwa (że nie mieli), udokumentowana analitycznie już dawno (zwłaszcza przez A. F. Grabskiego), ale zarazem jak gdyby przechodząca do porządku dziennego nad jedną znaczącą, jak się wydaje, okolicznością. Otóż wszyscy z wymienionych byli zwolennikami wyższości tezy o „samozawinionym” upadku Rzeczypospolitej nad tezą o zgubnej dla Polski znowie i akcji „trzech rozbójników”<sup>2</sup>. I od razu chcę zastrzec, że nieprzypadkowo strawestowałem ulubioną formułę popularnego profesora „mniemologii stosowanej”. „Wyższość” nie oznacza bowiem całkowitego odrzucenia stanowiska przeciwnego, lecz jedynie jego deprecjację w interpretacji określonej sfery

<sup>1</sup> Zob. *Spór o historyczną szkołę krakowską*. Praca zbiorowa pod red. C. Bobińskiej i J. Wyrozumskiego, Kraków 1972, *passim*.

<sup>2</sup> „Trzech rozbójników” to określenie, które Joachim Lelewel odnosił do Rosji, Prus i Austrii rozpatrując postawę tych państw wobec Rzeczypospolitej w końcu XVIII w.

historycznej rzeczywistości. Innymi słowy, w zapatrywaniach na upadek Rzeczypospolitej historycy ci nie ignorowali zupełnie tak zwanych przyczyn zewnętrznych, potrafili jednak znakomicie abstrahować od nich w konkluzjach typu: „upadku swego Polacy **sami** są sprawcami”. Ale czy taka wspólnota konkluzji może stanowić coś, co konstytuuje „szkołę historyczną”? Odpowiadając twierdząco na to pytanie, chciałbym zwrócić uwagę na cztery aspekty całości zagadnienia.

Pierwszy to „syntetyczna pojemność” owej tezy — upadek Rzeczypospolitej jawił się bowiem bądź jako wynik długiego procesu historycznego, bądź jako konkretyzacja wcześniej przytłumionej, lecz w pewnym momencie zrewitalizowanej słowiańsko-polskiej nieudolności plemiennej, która w ostatecznym rozrachunku okazywała się podstawowym determinantem historii ojczystej. Katastrofa kończącej wiek XVIII Polski była dla wielu, a już szczególnie dla tych historyków, o których mowa, zwężłowaceniem dziejów narodowych, była faktem stanowiącym ich „logiczną” kulminację. Trudno więc kwestionować, że taka teza miała i ma pojemność godną „prawdziwej” szkoły historycznej.

Drugi z aspektów to fakt, że teza ta ma swoje bardzo wyraźne oblicze metodologiczne. Jest nim wiara w to, że a) istniała jakaś *causa efficiens* upadku Polski, b) że owa przyczyna leżała wewnątrz układu, którego dzieje się wyjaśnia, a któremu w tym przypadku na imię — Rzeczpospolita szlachecka. W metodologii ten typ wyjaśnień nazywa się wyjaśnianiem „dyspozycyjnym”, będącym przeciwstawnym wariantem do wyjaśniania „ściśle kauzalnego”, poszukującego przyczyn na zewnątrz układu wyjaśnianego<sup>3</sup>. Na te właśnie metodologiczne aspekty zwracałem już uwagę we *Wschodzie i Zachodzie*<sup>4</sup>, toteż pozwolę sobie tego wątku nie rozwijać. Podkreślić jednak wypadnie, że rzadko kiedy (a prawdę powiedziawszy nigdy) w obrębie określonej szkoły naukowej mamy do czynienia z doskonałym izomorfizmem poglądów teoretycznych i metodologicznych jej poszczególnych członków. Zatem nie powinno nam przeszkadzać, że podczas gdy Bobrzyński był wyraźnie pod wpływem pozytywizmu, to Kalinka i Szujski byli zupełnie od niego niezależni<sup>5</sup>, a Smolka zasługiwał na dziwaczne nieco miano pozytywistycznego romantyka<sup>6</sup>. Uważam, że dla stwierdzenia „szkolnej przynależności” wystarczająca jest konstatacja, iż wszyscy oni w interpretacji upadku Rzeczypospolitej niewspółmiernie większą wagę przykładali do wyjaśniania dyspozycyjnego.

Aspekt trzeci, moim zdaniem rozstrzygający, jest niezależny od jakichkolwiek racji teoretyczno-metodologicznych. Chodzi o to, że pojęcie (i nazwa) „krakowska szkoła historyczna” od dawna już stanowi tak oczywisty składnik polskiej tradycji kulturowej, że gdybym miał uwierzyć w to, że szkoły tej nie było, to musiałbym dać się najpierw przekonać, że nie było np. Żeromskiego i *Szyfowych prac*. Ani najświętsze słowa oburzenia, ani najprzedniejsze racje logiczne (gdyby można było je znaleźć) niewiele tu pomogą. Najwyżej dojdziemy do dziwacznych konstatacji typu — „nie było ich, ale mieli (lub nie) rację”, do nieznośnego dla redaktorów „ucudzysłowania”

<sup>3</sup> J. Topolski, *Metodologia historii*, Warszawa 1973, s. 480.

<sup>4</sup> A. Wierzbicki, *Wschód–Zachód w koncepcjach dziejów Polski. Z dziejów polskiej myśli historycznej w dobie porobiorowej*, Warszawa 1984, s. 273 n.

<sup>5</sup> O Szujskim dałoby się powiedzieć, że był pod wpływem negatywnym, w pełni świadomie bowiem i na niezłym zresztą poziomie polemizował z pozytywistami.

<sup>6</sup> H. Barycz, *Stanisław Smolka w życiu i nauce*, Kraków 1975, s. 60; A. Wierzbicki, *Spory o polską duszę. Z zagadnień charakterologii narodowej w historiografii polskiej XIX i XX w.*, Warszawa 1993, s. 182–183.

wyrazu szkoła lub do poprzedzania go dość dwuznacznym w skojarzeniach skrótem: „tzw.”. Słowem, do absurdu. Tak jak zostali stańczycy, tak została nam ta szkoła, i nie odniesie skutku najusilniejsze wypieranie jej nazwy z rzędu polskich asocjacji historycznych nawet wówczas, gdy intencją będzie szczytne dążenie do uściślenia języka i „siatki pojęciowej” nauki. Niezależnie od tego, czy przyjmiemy taką czy inną definicję, krakowska szkoła historyczna **była i jest** w naszej świadomości kulturowej. Bytuje sobie ona tam nie tylko w regionach mniej krytycznych, ale i w tych bardziej „naukowych” i to niezależnie od tego, czy jej przedstawiciele mieli poczucie własnej, „szkolnej” odrębności. Taki usus stał się zresztą nie tylko udziałem dziejopisów podwawelskich. Fenomen „Annales”, który wbrew programowym zakłębom między innymi takich znakomitości, jak Fernand Braudel, został uznany przez wielu historyków nauki za „szkołę”, ma pod tym względem szczególną wymowę<sup>7</sup>. Zwyciężają nie definicje, lecz praktyka. A praktyka jest tu dość bogata i tolerancyjna, jakkolwiek diablo niemiła dla nie chcących ulec „zaszufladkowaniu” historyków. W teźże praktyce nie mieliśmy i nie mamy wyrazistych rozgraniczeń między szkołą, nurtem, kierunkiem, tendencją. I to nie tylko my. I znów powrócę do szkoły „Annales”, o której pisze się w literaturze światowej jako o „ruchu”, „kręgu”, „kierunku”, „fenomenie”, „tendencji”, „paradygmacie”, „wielkiej rodzinie myśli” itp.

Nie sposób w tym miejscu ustrzec się od jeszcze jednej refleksji na temat specyficznego statusu „szkół”, „orientacji” czy teź tendencji w nauce historycznej. Jakże często określa się je w odwołaniu do różnorodnych formacji ideowo-politycznych, abstrahując przy tym zupełnie od „parametrów” ściśle naukowych. Mieliśmy już więc historiograficznych monarchistów i republikanów, państwowców i narodowców, okcydentalistów i etnocentryków<sup>8</sup>. Taka już widać jest materia naszej dyscypliny, prowadząca nieraz do ciężkich rozterek. Bez większego trudu moglibyśmy na przykład zaliczyć W. A. Maciejowskiego do szkoły lelewelowskiej. Moglibyśmy, tylko że przeszkadza nam tak nie pasujący do „lelewelizmu” służalczy, niemal „wielkoruski” lojalizm i panslawizm tego historyka. A zatem również kryterium polityczne konstytuuje często „szkołę historyczną”, a jeśli tak, to ta stworzona przez krakowskich konserwatystów jest szczególnie wyrazista.

H. Słoczyński należy do badaczy, którzy zasugerowawszy, iż czegoś nie było, potrafią zadać sobie zarazem sporo trudu, żeby wykazać, że owo nie istniejące „coś” charakteryzowało się takimi a nie innymi cechami. W skrócie, jest to następujący algorytm: 1 — nie było szkoły krakowskiej, a co najwyżej była „tak zwana szkoła krakowska”, 2 — „tak zwana” nie była wcale pesymistyczna, jak twierdzili złośliwcy i bezrefleksyjni historycy, tylko optymistyczna. Natomiast przeciwnicy „tak zwanej” nie byli optymistyczni, lecz pesymistyczni, co swego czasu wykazał Olgierd Górka.

I znów, podobnie jak w przypadku „szkół”, nie chcę wchodzić w ciągnące się dziesiątkami lat, bezpłodne moim zdaniem, spory na temat prawomocności wyodrębnienia w polskiej historiografii nurtu „pesymistycznego” i „optymistycznego”. Tak już

<sup>7</sup> Zob. H. Olszewski, *Rozważania o szkołach historiograficznych*, „Historyka. Studia metodologiczne”, t. 14, 1984, s. 129–140; M. Francić, „Szkoła historyczna” — *zjawisko realne czy zwyczaj językowy?*, „Historyka...”, t. 15, 1985, s. 121–133; Y.-M. Hilaire, *Co to jest szkoła historyczna?*, „Historyka...”, t. 16, 1985, s. 99–104; R. Remond, *Czym jest francuska szkoła historyczna?*, *ibid.*, s. 105–111; J. Kochanowicz, „Annales” i *historia gospodarcza*, *ibid.*, s. 112–113.

<sup>8</sup> H. Słoczyński nie chcąc pisać o krakowskiej szkole historycznej woli czysto polityczne określenie „historiografia konserwatywna”.

zostało to nazwane i sędzę, że przynajmniej przez najbliższe lata nic się nie zmieni bez względu na ewentualne nowe „odkrycia” dotyczące nieadekwatności obu nazw. A jeżeli tak się stanie, to stanie się dobrze, nie warto bowiem odbierać cząstką przeszłości ich historycznych imion tylko dlatego, iż brakuje im — ze względu na ich metaforyczność — precyzyjnie określonego odniesienia przedmiotowego. Bywa tak, że różne rzeczy nazywamy tym samym imieniem i z płynącymi stąd niejasnościami nie zawsze potrafimy się uporać. Opisujemy je zatem i relatywizujemy każdorazowo, lecz nie ludźmy się, że zdołamy przezwyciężyć metaforyczny, i stąd niezbyt jednoznaczny, status naszego myślenia i języka. Przecież zarówno „aparat poznawczy”, jak i język, którym posługuje się historyk (i nie tylko on rzecz prosta), jest domeną metafory, poczynając od metafor najmniejszych, odnoszonych do historycznego „detalu”, a kończąc na makrometaforach sterujących historycznym poznaniem, takich jak metafory genezy, rozwoju, rewolucji czy ewolucji<sup>9</sup>. Nie warto zatem kruszyć kopii o to, czy „prawdziwi” czerwoni to ci z polskiej konspiracji powstańczej 1863 r., czy może ci z „niezwyciężonej proletariackiej armii Wielkiego Brata”. Gdybyśmy jednak chcieli oprzeć nowe nazwy na kryteriach metodologicznych i związanej z nimi nomenklaturze, to zwolenników historycznego „pesymizmu” trzeba by chyba nazwać dziejopisami dyspozycyjnymi (dyspozycjonistami?), zaś zwolenników „optymizmu” historykami ściśle kauzalnymi (kauzalistami?), a to z kolei przez swoją dwuznaczność wprowadziłoby jeszcze większy galimatias i z całą pewnością burzę protestów.

Wypadnie jednak zawrócić z tego epistemologiczno-terminologicznego ekskursu i wyrazić przekonanie, że nie warto również kruszyć kopii o nadanie naukowego obywatelstwa „nowym” (już od 1935 r.!), „odwróconym” konotacjom historiograficznego „optymizmu” i „pesymizmu”. A tak czyni H. Słoczyński, którego przeprowadzona osobiście, aż dwuzdaniowa analiza twórczości Szymona Askenazego, usposabia przychylnie do sformułowanych przed półwieczem propozycji Olgierda Górki. „W rozważaniach jednego z najgłośniejszych «optymistów» przełomu wieków, Szymona Askenazego — pisze Słoczyński — uderza traktowanie osiemnastowiecznej Polski jako kraju pozbawionego możliwości kształtowania swego losu, «biernego, podziałowego przedmiotu». Ten obraz obiektu miotanego przez niedostępne jego oddziaływaniu falowanie zewnętrznej koniunktury, skłania do poważnego potraktowania opinii Górki, że to co tradycyjnie zwano «optymizmem» było «historiografią narodowej nieodpowiedzialności»” (s. 229). Być może mógłbym w to wszystko uwierzyć, lecz przeszkadza mi fakt, że charakteryzując poglądy Askenazego i czyniąc z tejsze charakterystyki jedyną przesłankę do tak doniosłej konkluzji, autor przywołanych tu słów oparł się wyłącznie na analizie treści dwudziestostronicowej zaledwie recenzji, którą Askenazy zamieścił w traktowanych przez siebie, jak sam to wielokrotnie podkreślał, „rekreacyjnie” *W czasach historycznych*<sup>10</sup>. Trudno byłoby bowiem uznać, iż przesłankę taką stanowi całkowicie mylna interpretacja poglądów Wacława Tokarza (oparta nie na źródle, lecz na znakomitym skądinąd opracowaniu Jerzego Maternickiego), mająca jakoby świadczyć o ignorancji czy też „zacierzeniu” tego historyka w po-

<sup>9</sup> W sposób nowatorski problematykę tę ujmuje W. Wrzosek w wydanej ostatnio monografii: *Historia, kultura, metafora. Powstanie nieklasycznej historiografii*, Wrocław 1995.

<sup>10</sup> Była to recenzja II wyd. dzieła J. I. Kraszewskiego *Polska w czasie trzech rozbiorów...*, Warszawa 1902–1903.

lemikach z historykami krakowskimi. Na potrzebę odejścia od tej interpretacji wskazywałem już w 1978 r.<sup>11</sup>

Jeśli chodzi o „skłanianie się” H. Słoczyńskiego do urokliwego skądinąd konceptu Olgierda Górki, polegającego na „odwróceniu” pojęć pesymizmu i optymizmu w historiografii polskiej, w swym sceptycyzmie co do sensu takiego zabiegu podeprę się opinią nie byle kogo, bo samego Władysława Konopczyńskiego. I naprawdę nie dlatego, iżbym doszukiwał się jakiejś pikanterii w tym, że niektórzy zaliczali go do tzw. nowej krakowskiej szkoły historycznej. Przywołam słowa tego znakomitego historyka ze względu na dobitność zastosowanej przez niego argumentacji. Otóż odpowiadając Górcie (który — przypomnijmy — starał się wykazać, że pesymizm szkoły krakowskiej był w istocie optymistyczną tezą o „samoodrodzeniu” bez względu na przychylność lub nieprzychylność „sił zewnętrznych”), Konopczyński zwracał uwagę na to, że tak w odniesieniu do zjawiska upadku, jak i w odniesieniu do zjawiska odbudowy państwa, autor pomysłu „odwrócenia pojęć” żąda tego samego „schematu myślenia”: „tu i tam *causa efficiens* musi być albo zewnętrzna, albo wewnętrzna, je ż e l i ś m y zmartwychwstali własnym wysiłkiem, to i upadliśmy z własnej winy. Rozumowanie oczywiście błędne: *causa efficiens* zburzenia katedry w Reims tkwiła w paszczach niemieckich armat, *causa efficiens* jej odbudowania (jak i zbudowania) [to] — wysiłek twórczy Francuzów, a nie milczenie niemieckich armat, żadnego metodycznego aut-aut nie było”<sup>12</sup>. Dodajmy — tak jak nie było ani samoupadku, ani samoodrodzenia. Ale to już inna sprawa.

#### *Ofiara komuszej swawoli?*

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że H. Słoczyński postanowił rozprawić się z „czarną” legendą szkoły krakowskiej nie przy pomocy argumentacji, lecz uderzając w tak napięte w naszych sercach (zwłaszcza w ostatnich latach) struny współczucia dla ofiar stalinizmu i komunizmu. To, czego nie chce on nazwać krakowską szkołą historyczną, a o czym napisał kilkadziesiąt stron tekstu, naprawdę nie wymaga jednak litości. Wysoką rangę i klasę Kalinki, Szujskiego czy Bobrzyńskiego doceniła już dawno polska historia historiografii i to zupełnie nie dlatego, że również ich (jakkolwiek grubo pośmiertnie) dałoby się wciągnąć na listę poszkodowanych po 1945 r.

Być może krzywdzę H. Słoczyńskiego, ale poza scharakteryzowanymi wyżej intencjami nie potrafię znaleźć żadnego innego uzasadnienia dla adiachronicznej i zupełnie dla mnie niewytłumaczalnej konstrukcji, którą zastosował w swym artykule, i która sprawiła, że najpierw czytamy o krzywdach wyrządzonych pamięci konserwatywnych dziejopisów podwawelskich w ostatnim, „komunistycznym” półwieczu, a dopiero potem o tych, których doznawali oni już w końcu XIX i w pierwszej połowie XX w. Takie odejście od chronologii byłoby może uzasadnione, gdyby to co H. Słoczyński nazywa „czarną legendą konserwatywnych historyków krakowskich” stanowiło wyłączone dzieło rozwielenionej po II wojnie komuny lub gdyby ta ostatnia smarowała jakąś szczególnie zagęszczoną czernią ich pamięć i dorobek. Tymczasem

<sup>11</sup> A. Wierzbicki, *Naród w polskiej myśli historycznej dwudziestolecia międzywojennego*, Wrocław 1978, s. 25.

<sup>12</sup> *Pamiętnik VI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Wilnie. 17–20 września 1935. II: Protokoły*, Lwów 1936, s. 48–49. Tam też opinia Konopczyńskiego, że „Powzięta z góry dążność do «odwracania» i «wywracania» nie tylko nie ulepsza naszej logiki, ale naraża na szwank znajomość faktów” (s. 49).

naprawdę było tak, że w dosadności epitetów i ciężarze „zarzutów gatunkowych” mających tworzyć „czarną legendę”, komuniści, a także inni „historycy doby PRL-u”, nie sięgali pięć swym szacownym poprzednikom sprzed obu wojen światowych. Można to dostrzec zaczynając lekturę tekstu Słoczyńskiego nie od pierwszej, a od drugiej jego części. Czytając „wstecz” z całą pewnością uzyskamy obraz historycznie sensowniejszy.

Nie ulega wątpliwości, i tu zgodny jestem z H. Słoczyńskim, że w czasach tak zwanego przełomu marksistowskiego w polskiej historiografii (koniec lat czterdziestych i początek pięćdziesiątych) krakowska szkoła historyczna rozpoznana została jako „wróg klasowy”. Nieważne było przy tym, że szkoła ta „substancjalnie” od dawna już nie istniała, że w przeszłość odeszły warunki, z których wyrosła i którym usiłowała sprostać. Obiegowe podówczas pojęcie „dywersji ideologicznej”, stanowiące fenomen godny skądinąd odrębnych studiów, miało w sobie zadziwiającą wręcz zachłanność. Zawłaszczało nie tylko prądy i nurty, które współcześnie kierowały się przeciwko „najlepszej z ideologii”, ale i te, które, zdawać się mogło, dawno zostały już zdezaktualizowane przez upływ czasu. Stąd obłudne wręcz poszukiwania kryteriów postępowości w stosunku niemal do wszystkiego, co przejawiało swój byt w historii<sup>13</sup>. Wszak „postępowe” nie mogło być dywersyjne i à rebours. W tej sytuacji było wręcz oczywiste, że tak stańczycy, jak i krakowska szkoła historyczna, będąc otwarcie zachowawczy i przez to samo stanowiąc już zaprzeczenie postępu, nieśli w sobie wielki potencjał „dywersyjności”. Ale przecież nie tylko oni i nie najbardziej oni. I tu właśnie mam pretensję do H. Słoczyńskiego, który nie chce dostrzec, że główne ostrze ataku kierowano wówczas przeciwko historiografii „burżuazyjnej” jako niebezpieczniejszej choćby tylko dlatego, że historycznie bliższej, a w znacznej części wręcz współczesnej, epoce „triumfującego postępu”. Oczywiście źle mówiono o szkole krakowskiej, ale znacznie gorzej o historykach międzywojennego dwudziestolecia. Truizmem zresztą jest już spostrzeżenie, że były to czasy, w których w myśl dyrektywy „kto nie z nami ten przeciwko nam”, źle mówiono o wszystkich i o wszystkim, co „nie nasze”. Po prostu istniało wzmożone zapotrzebowanie na „czarne legendy”<sup>14</sup>, przy czym najczarniejsze dorabiano jednak historiografii „piłsudczykowskiej”, „sanacyjnej” i „nacjonalistycznej”. Można to wyraźnie stwierdzić wglądając się w lekturę dwóch tomów materiałów konferencji w Otwocku i innych ówczesnych wydawnictw. Natomiast czytając artykuł H. Słoczyńskiego odnosi się wrażenie (mam nadzieję, że nie jest to intencją Autora), iż to właśnie krakowska szkoła historyczna była główną ofiarą szkodliwych dla nauki procesów, których apogeum nastąpiło podczas otwockiego sabatu. Otóż nie była. Paradoks polega na tym, że właśnie w odniesieniu do tej szkoły czarnej legendy nie trzeba było dorabiać. Nawet nie trzeba było jej specjalnie modyfikować dla potrzeb nowych czasów. Powiedzmy jeszcze więcej, powtarzając się poniekąd: nigdy w dobie peerelowskiej nie sformułowano tylu tak ostrych zarzutów pod adresem krakowskiej szkoły historycznej, jak to zrobiono w poprzedzającym półwie-

<sup>13</sup> Szerzej pisałem o tym w: *Argument z polityki w historii*, w: *Metodologiczne problemy badań nad dziejami myśli historycznej* pod red. J. Maternickiego, Warszawa 1990, s. 87–108; zob. też: R. Stobiecki, *Historia pod nadzorem. Spory o nowy model historii w Polsce (druga połowa lat czterdziestych — początek pięćdziesiątych)*, Łódź 1993, s. 119–121.

<sup>14</sup> W istocie chodziło tu o siłę perswazyjną i integrującą motywów odwiecznego a zarazem nieumieralnego wroga, który w myśl Mrożkowej [oby tylko!] reguły był niezbędny dla istnienia tego co „nasze”.

czu. Mógłbym na poparcie tych tez przytoczyć dziesiątki zupełnie pominiętych przez H. Śloczyńskiego „czarnych” i bardzo czarnych opinii pochodzących z końca XIX i początków XX w., przy których złośliwe słowa znanej satyry Asnyka dadzą się czytać jak hymn pochwalny na cześć „nowej szkoły”. Mógłbym, ale byłoby to powtarzanie tego, co robili już wielokrotnie moi koledzy, a także ja sam.

Natomiast jeśli chodzi nie o epitety, lecz o koncepcje, to nowa, „postępowa” formacja bez zbytnych wyrzutów sumienia obficie czerpała właśnie z dorobku konserwatywnej szkoły krakowskiej. Wprawdzie według H. Śloczyńskiego była to jedynie „pewna zbieżność w ocenie przedrozbiorowej Rzeczypospolitej”, „zbieżność”, której komuniści nie chcieli, czy też nie potrafili dostrzec, a być może, którą świadomie kamuflowali (wywody autora nie są w tym miejscu zbyt klarowne, toteż muszę przytoczyć je w całości<sup>15</sup>), śmiem jednak twierdzić, że preferencja tezy o samozawinionym upadku Rzeczypospolitej wskazuje na zbieżność fundamentalną. Co więcej, historiografia „wczesnego PRL-u” faworyzując zasadę wyjaśniania dyspozycyjnego (i to nie tylko w metodologicznym znaczeniu tego słowa) zastosowała ją nad wyraz twórczo do dziejów... II Rzeczypospolitej. Również i jej historia wpisywana była w schemat samoupadku. Oczywiście nie bez reszty, ponieważ niemiecki najazd (tego drugiego, rzecz prosta, nie było) łamał tu wyraźnie koherencję konstrukcji. Warto przypomnieć, że w ówczesnych ujęciach II Rzeczypospolita jawiła się jako dziwoląg, który i tak musiał upaść z przyczyn „wewnętrznych”. Po pierwsze dlatego, że państwo to było burżuazyjne i uciskało lud pracujący miast i wsi, po drugie dlatego, że było wielonarodowe i uciskało „mniejszości” na wsi i w miastach, po trzecie dlatego, że nie chciało opieki ZSRR oraz uciskało komunistów „miejskich” i „wiejskich”. Zgodnie z ówczesną doktryną samoupaadek był wpisany w kod genetyczny tego państwa, w jego „wewnętrzne dyspozycje”. Zabrzmiał to tragikomicznie, ale pozostając w konwencji takiego myślenia dałoby się powiedzieć, że od upadku w wyniku wewnętrznego rozkładu „uratował” nas jedynie najazd hitlerowski i oswobodzicielsko-opiekuńcza akcja wschodniego przyjaciela. Nie warto snuć ponurych fantazji na temat dalszych możliwych rozgałęzień takiego toku myślenia. Faktem jednak pozostaje, że u jego podłoża leżał znany już wcześniej kanon eksplikacyjny, zastosowany najwyraźniej (by nie powiedzieć: „najdoskonalej”) właśnie przez krakowską szkołę historyczną.

Powiedzmy zatem tak: w dobie stalinizacji polskiej nauki historycznej główne boje toczono nie z historyczną wykładnią upadku I Rzeczypospolitej daną przez szkołę krakowską, lecz z wtopieniem się tej szkoły w „antypostępowy” konserwatyzm galicyjskich elit społecznych. Czarna legenda dotyczyła bardziej politycznego niż histo-

<sup>15</sup> „W sytuacji, gdy tak wiele predestynowało «historiografię stańczykowską» do odegrania roli negatywnego bieguna odniesienia dla historiografii marksistowskiej, należało coś zrobić z pewną zbieżnością w ocenie przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. W marksistowskim schemacie nie do pomyślenia było, by nauka idąca «na pasku» klas posiadających, tak zdecydowanie negatywnie prezentowała istotne aspekty ich dziejowej roli. Nie przyjmowano więc do wiadomości radykalnej krytyki ustroju politycznego i społecznego Rzeczypospolitej szlacheckiej [? — moim zdaniem bezceremonialnie „ściągnano” tę krytykę modernizując jedynie słownictwo i tu czy ówdzie zaostrażając ją — A.W.]. Dla mistrzów myślenia dialektycznego przekreślenie sensu tego najbardziej, jak by się wydawało, oczywistego wątku interpretacji dziejów Polski Szujskiego i Bobrzyńskiego, nie przedstawiało trudności. Istotę zabiegu semantycznego ilustruje twierdzenie Bobińskiej o «służalczości stańczykowskich dziejopisów wobec swej wiedeńskiej 'silnej władzy'». Teza o słabości władzy państwowej jako zasadniczej przyczynie upadku Polski została tu zredukowana do roli instrumentu uzasadniającego konieczność podporządkowania się rządowi zaborczego państwa” (s. 211).

rycznego oblicza „stańczykowskiej historiografii”, choć rzecz prosta jedno bez drugiego nie istniało.

### *Józef Szujski a Andrzej Feliks Grabski*

Wielokrotnie dane mi było głosić, że Szujski jako dziejopis nie potrzebuje apologetów, że najlepiej broni go i chwali jego własna twórczość historyczna. Oczywiście nie wszędzie i nie zawsze wybronić go zdoła, ale jestem przekonany, że jako historyk ma on, obok ewidentnych uchybień i potknięć, niemało powodów do chwały. Ta deklaracja wydaje się konieczna, nie chciałbym bowiem uchodzić za **przeciwnika** tak Szujskiego, jak i całej krakowskiej szkoły historycznej. Dlaczego nie chciałbym — wyjaśnię poniżej<sup>16</sup>.

Być może to czysto subiektywne wrażenie, ale dostrzegłem u H. Śloczyńskiego niebezpieczny dla suwerenności naukowego sądu emocjonalny stosunek do krakowskiej szkoły historycznej. Stosunek ten zaowocował pod postacią nadpodejrzliwości<sup>17</sup> co do intencji tych, którzy o szkole krakowskiej pisali, od Schmitta i Smoleńskiego począwszy, a na współczesnych historykach historiografii skończywszy. To, chciałoby się rzec, alergiczne uczulenie prowadzi H. Śloczyńskiego m.in. do nazwania A. F. Grabskiego „jednym z najbardziej gorliwych przeciwników Szujskiego wśród **uczonych epoki PRL-u**” (s. 230). Trudno nie dostrzec sugestywnej aluzyjności tego pozornie czysto „periodyzacyjnego” epitetu. Przykro mi, bo zupełnie nie wiem, czy np.: Klemens Szaniawski, Stefan Kieniewicz, Tadeusz Łepkowski, Jerzy Skowronek, których twórcze apogeum przypadło właśnie na owe lata, byli również, zdaniem H. Śloczyńskiego, „uczonymi epoki PRL-u”. Ale w końcu nie ta formuła zadziwia najbardziej, lecz towarzysząca jej predylekcja do tropienia „gorliwych przeciwników” Szujskiego nawet w sto lat po jego śmierci i na dodatek w warunkach zupełnie nie przypominających dawnej Galicji. Gdybym myślał o sobie tak, jak H. Śloczyński o A. F. Grabskim, to okazałoby się, że sam byłem i jestem „przeciwnikiem” wszystkich tych, o których niekonsekwencjach i politycznej tendencyjności pisałem. A znaleźliby się wśród nich i Naruszewicz, i Lelewel, i Kalinka, i Szujski, i Bobrzyński, i Smoleński, i Korzon, i Askenazy i wielu, wielu innych. Z drugiej jednak strony, zważywszy że niejednokrotnie wskazywałem również na zalety tych dziejopisów, czyżbym miał się uznawać zarazem za ich „zwolennika”? Peregrynacje po krainie absurdu, do jakich prowadzi podział badaczy na „zwolenników” i „przeciwników” wybranego przez nich przedmiotu badania, a takim przedmiotem dla historyka historiografii jest m.in. twórczość Szujskiego, można by snuć jeszcze dalej, ale uszanujmy cierpliwość papieru uznając, że postawy takie (jakże bliskie duchem tym z czasów konferencji otwockiej) należą już do rzadkości.

Nawiasem mówiąc, wśród historyków historiografii „doby PRL-u” (a także i tej następnej) nie znam drugiego, który zrobiłby tyle, co A. F. Grabski dla wydobycia szkoły krakowskiej z zapomnienia i uwolnienia jej od wielu kłąt, jakimi obłożono ją

<sup>16</sup> Już jednak w tym miejscu pragnąłbym nadmienić, że bardzo dobrze mówiłem o Szujskim między innymi w czasie uroczystej sesji w Tarnowie w 1988 r., podczas której uznany zostałem przez organizatorów za godnego obdarowania medalem wybitym ku czci tego historyka. Nie tylko zatem ja sam siebie, ale również inni nie uważają mnie za „przeciwnika” Szujskiego.

<sup>17</sup> Przez określenie to pojmuję coś więcej niż zwykłą, warsztatową „podejrzliwość”, do której zobowiązany jest historyk.



w przeszłości. To nie kto inny, tylko tenże „gorliwy przeciwnik”, pospołu z innym jakoby „przeciwnikiem” — Marianem H. Serejskim, jako pierwszy po wojnie wydał w prestiżowej serii „Klasyki Historiografii Polskiej” *Dzieje Polski w zarysie* Bobrzyńskiego, obwieszczając we wstępie czytelnikowi, iż daje mu do ręki dzieło „zasługujące na miano wybitnej syntezy dziejów narodowych”<sup>18</sup>. To również ten „przeciwnik” jako jeden z pierwszych po wojnie zachwalał (choć rzecz prosta nie bezkrytycznie) Szujskiego, widząc w nim dziejopisa „o niepospolitym talencie i horyzontach”<sup>19</sup>, a objąwszy redakcją naukową serii „Klasyków...” uczynił go jednym z nielicznych, którym poświęcono (nadgorliwie?) aż dwa odrębne tomy (drugi z przygotowywanych tomów nie ukazał się, ponieważ PIW zrezygnował z wydawania tej serii). Obyśmy wszyscy mieli takich przeciwników.

Co jednak prowadzi H. Śloczyńskiego do przypisania A. F. Grabskiemu tak mało obiektywnej postawy? Wgłębmy się w tok myślenia badacza „czarnej legendy”: „Czytając niektóre teksty odnosi się wrażenie, że Szujski został za jakąś tajemną przewinę skazany na wieczną pokutę z piętnem «pesymisty» na czole. Rozumowania analogicznego do zawartego w *Kilku prawdach* dopatrywano się bowiem u innych historyków i uznawano je za «optimistyczne». Doskonałym tego przykładem jest wywód Grabskiego, który podkreślał za Jerzym Skowronkiem, że stwierdzenie, «iż zło wynika z mankamentów wewnętrznych», pozwala na optymizm szczególnie. Oznacza bowiem, że dane społeczeństwo jest zdolne samo usunąć źródła i przejawy zła. Takie rozumowanie skłoniło Grabskiego do podkreślania «optimizmu» poglądów Adama Naruszewicza i protestu przeciw ich łączeniu z późniejszymi «pesymistycznymi» koncepcjami szkoły krakowskiej” (s. 229–230). Te właśnie słowa mają stanowić dowód na „gorliwą” niechęć przejawianą przez A. F. Grabskiego w stosunku do krakowskiej szkoły historycznej, lecz naprawdę nie trzeba zbytniej dociekliwości, by dostrzec, że inną wymowę ma teza o samozawinionym „złym” trawiącym **istniejącą** Rzeczpospolitą (Naruszewicz), a zupełnie inną teza o **samoupadku** państwa **nie istniejącego** już od blisko stulecia (szkoła krakowska). Na to właśnie, a nie na nic innego, wskazywał, zainspirowany przez J. Skowronka, A. F. Grabski.

Nieprzyjacielska „gorliwość” miała w końcu, zdaniem H. Śloczyńskiego, cechować się tym, że „...Andrzej F. Grabski wytrwale uprawia retorykę pod hasłem teorii samobójstwa narodowego historyków krakowskich...” (s. 213). I w ten oto sposób znaleźliśmy się w ogrodzie niewiedzy zrywając najpiękniejsze jego kwiaty. Przecież to właśnie była **retoryka krakowskich konserwatystów** przynosząca na przykład pod piórem Stanisława Koźmiana takie oto arcyfigury: „U dwóch narodów, podniecanie ducha wytworzyło jakby tęsknotę do własnej zagłady, u żydowskiego i u polskiego; obydwa popchnęło do przedsięwzięć bezpodstawnych, bezrozumnych, niweczających wraz ze środkami cel i doprowadziło do zburzenia Jerozolimy i świątyni. Zburzenie to nie położyło przecież końca samobójczym przedsięwzięciom i jak gdyby one tkwiły w charakterze, w usposobieniu tych dwóch narodów, stały się u nich nawyknieniem”<sup>20</sup>. Wypadnie podkreślić, że przytoczone tu słowa<sup>21</sup> nie były zwykłym „potknię-

<sup>18</sup> M. H. Serejski, A. F. Grabski, *Michał Bobrzyński i jego Dzieje Polski w zarysie*, w: M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, Warszawa 1977 (wyd. II), s. 34.

<sup>19</sup> A. F. Grabski, *Orientacje polskiej myśli historycznej*, Warszawa 1972, s. 311.

<sup>20</sup> S. Koźmian, *Rok 1863*, t. 2, Warszawa 1903, s. 10. Wszystkie pozostałe cytaty pochodzą z tego właśnie (III) wydania książki Koźmiana, które ukazało się pod zmienionym nieco w stosunku do wyd. I tytułem.

ciem przy pracy”, pochodzą bowiem z dzieła mającego w połowie lat dziewięćdziesiątych określić, uzasadnić i zaktualizować program krakowskich konserwatystów. O dziele tym, jak również o cechującej polskie spory polityczne końca wieku XIX „retoryce samobójstwa”, będę pisał w II części tego artykułu.

Zarzucając H. Słoczyńskiemu nazbyt emocjonalny stosunek do „czarnej legendy” i jej przedmiotu<sup>22</sup> zastanawiam się jednak, czy i ja nie wpadłem w pułapkę uczuć stronnicych. Jeżeli tak się stało, to winę swą odkupię. Rzucę mianowicie nieco światła na genezę sformułowanej w końcu ubiegłego stulecia tezy, godzącej w najczarniejsze legendy krakowskiej szkoły historycznej, a mianowicie **tezy o niepodległościowej konspiracji, jaką w redakcji „Przeglądu Polskiego” uprawiali Szujski, Tarnowski i Koźmian**. Narodziny tej mogącej uchodzić za prawdziwą rzadkość konstatacji muszę wszakże ująć nieco szerzej i w nieco innej konwencji stylistycznej niż ta, na którą ośmieliłem się w części pierwszej.

## II. Rzecz o roku 1863 — ostatnie (?) słowo stańczyków

Zapoczątkowane ukazaniem się *Teki Stańczyka* ostre polemiki między konserwatystami a przedstawicielami tromtadracji, jak złośliwie nazywano galicyjskich demokratów, ciągnęły się przez długie lata. I znamienne, u podłoża owych sporów i tarć o „prawdziwe” czy też „rozumne” oblicze polskiego patriotyzmu leżał zawsze topos insurekcyjny, egzemplifikowany najchętniej odniesieniami do powstania styczniowego. Spory trwały latami, a wraz z ich upływem stańczycy zdołali przejść znaczny wstrząs, jakim było ewidentne fiasko nadziei na umiędzynarodowienie sprawy polskiej za pośrednictwem Austrii. Wojna rosyjsko-turecka i w jej następstwie Kongres Berliński udokumentowały, że nie można liczyć na aktywniejszą i przychylniejszą pod tym względem postawę c.k. monarchii<sup>23</sup>. „Upadek z konia” — oto słowa, które sami stańczycy odnosili do sytuacji, w jakiej znaleźli się po roku 1878. Wiara w to, że będzie można sprawę polską załatwić za pośrednictwem sprawy słowiańskiej, a tę ostatnią za pośrednictwem Austrii (austrosławizm), została poważnie nadwierzona. Przy założeniu, że w stosunku do monarchii rakuskiej należy zachować lojalność, pozostawał jednak do rozstrzygnięcia podstawowy problem, a mianowicie — jaką postawę winni przyjąć Polacy w innych zaborach. I wówczas to po raz pierwszy stańczycy, za pośrednictwem Stanisława Koźmiana, ogłaszają następującą receptę: zachowanie „bytu narodowego” (to pojęcie, do którego przyjdzie jeszcze powrócić) winno być oparte na zasadzie trójlojalizmu — ugody Polaków z wszystkimi rządami zaborczymi. Bez względu na to, jak pięknym eufemizmem usiłowano pokryć istotną treść tego hasła („każdy u siebie a każdy dla wszystkich” — proponował Stanisław Tarnowski), to przecież nie mogło ono przysporzyć popularności „stronnictwu krakowskiemu”. „Tromtadraci”, rzecz prosta, od razu wykorzystali to w swoich polemikach ze stańczykami. W miarę upływu czasu kapitulacyjny charakter trójlojalizmu stawał się coraz

<sup>21</sup> Są one w istocie bliskie znacznie wcześniejszej eksklamacji Szujskiego: — „Otóż jako ratunku żądam namiętnego chwycenia się krytycznego kierunku, żądam tej wielkiej ambicji, aby zwyciężyć wady narodowego charakteru, pozbyć się narodowej włościwości, która jest zabójczą.”, J. Szujski, *Dawna Polska i jej pogrobowce*, w: idem, *Dzieła*, ser. II, t. 2, s. 218.

<sup>22</sup> Trochę „dobrego” uczucia do przedmiotu badania można by ostatecznie uznać za dopuszczalne.

<sup>23</sup> Zob. R. R. Ludwikowski, *Główne nurty polskiej myśli politycznej. 1815–1890*, Warszawa 1982, s. 172.

wyraźniejszy, zaś szansa na jego upowszechnienie coraz mniejsza. Toteż kiedy w latach 1894–1895 ukazało się trzytomowe dzieło Koźmiana *Rzecz o roku 1863*, będące kolejną próbą rozrachunku z tradycją insurekcyjną, a zarazem próbą kolejnego sformułowania i uzasadnienia „aktualności” platformy politycznej stańczyków, reakcja była wręcz wyjątkowa. Kilkadziesiąt recenzji na łamach prasy polskiej, trzy wydawnictwa książkowe (w tym jedno dwutomowe) powstałe wyłącznie w celu ustosunkowania się do tez Koźmiana, ostre dyskusje w Kole Literacko-Artystycznym we Lwowie, to jedynie „wewnątrzkrajowy” oddźwięk książki tego, którego określano mianem szefa sztabu galicyjskich stańczyków. A przecież *Rzecz o roku 1863* przełożono również na niemiecki (Wiedeń 1896), zaś fragmenty na rosyjski („Russkaja Starina” 1898), a także przychylnie odnotowano w prasie rosyjskiej, austriackiej, czeskiej, nawet angielskiej. Warto zatem przyrzeć się bliżej zarówno treści, jak i recepcji Koźmianowego dzieła. Warto tym bardziej, iż rzuci to niezbędne światło na genezę zapowiedzianej już wcześniej tezy o „stańczykowskiej konspiracji”.

Pod względem formalnym *Rzecz...* była wielce niejednorodna. Zawierała w sobie elementy pamiętnika, monografii historycznej, traktatu teoretyczno-politycznego, przy czym jedynymi jej zasadami konstrukcyjnymi były zasady chaosu i niekoherencji. To naprawdę nie uszczypliwość. Znamienne, że nawet Henrykowi Lisickiemu, który na łamach „Kwartalnika Historycznego” usiłował jak najprzychylniej zrecenzować książkę „kochanego przyjaciela” wyrwało się spod zaprzyjaźnionego pióra takie oto zdanie: „Do fenomenów, nad których wytłumaczeniem umysł ludzki daremnie mozolić się będzie, przybył jeszcze jeden: ład albo po prostu powiedziawszy, nieład Koźmianowskiej *Rzeczy*”<sup>24</sup>. Liczne dygresje i zmiany konwencji narracyjnej znajdujące wyraz w nakładaniu się relacji bezpośredniego uczestnika wydarzeń oraz surowego arbitra-historyka oceniającego ich przebieg z dużego dystansu czasowego sprawiały, że poglądy Koźmiana nie zawsze rysowały się wyraziście, a prawdę powiedziawszy — rzadko kiedy. Na kształcie całości zaważył ponadto fakt, że trzeci tom pisany był już po zapoznaniu się autora z głosami krytycznymi skierowanymi pod adresem dwóch pierwszych, w związku z czym zawierał sporo załagodzeń w stosunku do sądów i ocen wypowiedzianych wcześniej. A jednak warto spróbować odtworzyć zrab Koźmianowych myśli choćby dlatego, że jednych bulwersowały one i przerażały, a innych wprawiły niemal w zachwyt. Ocena powstania styczniowego (1), teoria „trzech stopni upadku” (2), teoria „bytu narodowego” (3), a wszystko to podszyte apologią dokonań politycznych stańczyków — oto główne składniki *Rzeczy o roku 1863*. Przyjrzyjmy się zatem każdemu z nich, i to tym wnikliwiej, iż znaleźli się tacy, którzy dzieło to okrzyknęli „książką mądrości narodu”, a także i tacy, którzy w ponad pół wieku po jego powstaniu widzieli w nim polski „katechizm polityczny”.

### „Neorozrachunki” i „neoprogram”

**1 — Powstanie styczniowe.** „Rozpoczęły się czasy podobne raczej do fantastycznej opowieści Hoffmana, niż do karty z dziejów ludzkich”<sup>25</sup> — pisał Koźmian doprowadzając tok narracji do momentu rozpoczęcia powstania styczniowego. „Jak się to często zdarza — nadmieniał nieco wcześniej — ludzie, którzy przygotowując powsta-

<sup>24</sup> „Kwart. Hist.” 9, 1895, s. 579.

<sup>25</sup> S. Koźmian, op. cit., t. 2, s. 333.

nie i wywołując je, złożyli byli świadectwo bezrozumu politycznego, w przeprowadzeniu własnej niedorzeczności i w szczegółach rzeczy bezmyślnej okazali wiele pomysłowości [...]. Tylko obłąd mógł do podobnych doprowadzić ostateczności, do takich fantasmagorii, do takich już krwawych niedorzeczności. Przecież te ostateczności, ta fantasmagoria, te niedorzeczności, stały się, istniały; z dziedziny niepodobieństw przeszły w rzeczywistość i niezawodnie musiały być poczytane za nadzwyczajność, która myliła wszelkie rozumu rachuby, wszelkie rozsądku obliczenie”<sup>26</sup>. Na tych kilku zdaniach można by właściwie zakończyć daną przez Koźmiana charakterystykę i ocenę powstania styczniowego. „Dzieło obłądu”, dzieło „bezrozumu politycznego”, efekt bezmyślnego „romantycznego patriotyzmu”, „fantasmagoria”, która stała się rzeczywistością, to epitety nader skwapliwie odnoszone przez autora *Rzeczy o roku 1863* do nieszczęsnej insurekcji. I trzeba przyznać, iż w porównaniu z innymi stańczykami wypowiadającymi się na ten temat był on sędzią najsurowszym, wręcz okrutnym.

Zastanawiając się nad tym, w jaki sposób mogło dojść do tak „nierozumnego” wydarzenia, jak powstanie styczniowe, Koźmian wskazywał na słabości dwóch głównych kierunków, mających wyznaczać ramy polskiego życia politycznego w dobie porzoborowej: „demagogicznego” i „zachowawczego”. „Demagogów” miały cechować „usiłowania odzyskania niepodległości bez zapewnienia sobie obcej pomocy”, natomiast konserwatystów — „usiłowania, które jedynie na obcą pomoc i z tą pomocą liczyły się”<sup>27</sup>. Te najogólniejsze kryteria wymagały jednak, zdaniem krakowskiego konserwatysty, rozbudowania i dopełnienia. Wszak „demagogdy” również brali pod uwagę obcą pomoc, licząc czy to na rewolucję powszechną, czy na przewrót w Rosji, czy w końcu na pomoc któregoś z zachodnioeuropejskich mocarstw. Dopiero uwzględnienie tej korekty prowadziło, według Koźmiana, do formuły bardziej precyzyjnej, a mianowicie: „jedni pragnęli **zapewnić** sobie obcą pomoc, drudzy chcieli ją dorywczem działaniem i powstaniami zbrojnymi **wywołać**. Te dwa dopiero systemy odróżniają wyraźnie w dziejach porzoborowych obóz zachowawczy od demagogicznego”<sup>28</sup>.

Mylnym byłoby domniemywanie, że Koźmian, którego ideowo-polityczne wyznaczenie stawiało po stronie „zachowawców”, przyzna im całkowitą słuszność. To prawda, że ich kierunek był lepszy, rozumniejszy, że chciał wdrażać społeczeństwo do codziennej pracy na polu ekonomicznym i kulturalnym, że konsekwentnie realizowany winien neutralizować dążenia spiskowo-powstańcze. Tak jednak się nie stało. Był bowiem jeden punkt, w którym zapatrywania „demagogów” i konserwatystów schodziły się, a mianowicie: „**mylne założenie możności odbudowania upadłego państwa polskiego** [podkr. A. W.] i błędne przekonanie, że obca pomoc przyłoży do tego odbudowania skuteczną rękę”<sup>29</sup>. Zarówno wiara w obcą pomoc, jak i we własne siły narodu były, zdaniem Koźmiana, mrzonką. Cały wiek XIX miał potwierdzać, że ani Europa „zbiorowa”, ani jakiegokolwiek mocarstwo europejskie z osobna wzięte, nie były i nie są zainteresowane w odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Natomiast kwestię „wybić się na niepodległość” własnymi siłami rozstrzygał przy pomocy dziwnego rozumowania, któremu nadał sugestywną, jak zapewne sądził, postać wyrażenia mate-

<sup>26</sup> Ibid., s. 333–334.

<sup>27</sup> S. Koźmian, *Rzecz...*, t. 3, 1895, s. 304.

<sup>28</sup> Ibid., s. 304.

<sup>29</sup> Ibid., s. 329.

matycznego (równania?, nierówności?): „Naród — pisał — który nie miał dość sił aby zachować niepodległość nie może ich mieć tyle, aby ją odzyskać, gdyż musiałby ich mieć więcej niż mu ich było potrzeba do pierwszego zadania, którego nie był w stanie spełnić. Aby zatem drugie rozwiązać, musi zastąpić te [siły — A.W.], na których mu zbywało, obcemi”<sup>30</sup>. W ten sposób dość skomplikowane, trzeba przyznać, koło niemożności zamykało się: chcąc odzyskać niepodległość, niedostatki sił własnych należało uzupełnić siłami obcymi, a te, jak uczy historia, zupełnie nie były zainteresowane tym uzupełnianiem. Tyle o przyczynach i szansach powstania styczniowego, o których, jak nie trudno zauważyć, Koźmian mówił przede wszystkim w kategoriach „niedorzeczności”.

A co sądził o skutkach? Insurekcja styczniowa — powiadał — pociągnęła za sobą wiele zła, przy czym złem mniejszym były jej skutki międzynarodowe. W wyniku powstania sprawa polska przestała istnieć jako sprawa europejska i to było szczególnie dotkliwe dla nas samych. Lecz były też inne następstwa rzutujące na układ sił w całej Europie. „Jeżeli zabrakło Francji w stosunkach europejskich — pisał Koźmian — pierwszą tego przyczynę należy szukać w powstaniu polskim 1863 r.”<sup>31</sup> Obniżenie uroku Napoleona III, ośmielenie wrogów Francji, zjednoczenie Niemiec („przeobrażona w skutku wypadków 1863 r. napoleońska zasada narodowości wydała jedność niemiecką”<sup>32</sup>), zmuszenie Austrii do szeregu błędów, które doprowadziły do „zespoleń Prus z Rosją”<sup>33</sup>, „przygłuszony, choć nie zawsze cichy antagonizm między Austrią i Rosją w sprawach polskich i ruskich” — wszystko to miało stać się za sprawą styczniowej insurekcji. Wizja insurekcyjnej Apokalipsy nie osiągnęła jednak apogeum nawet w konkluzji, iż po roku 1863 „nie ma już Europy” [podkr. A. W.], ponieważ autor *Roku 1863* dostrzegł jeszcze większe rozmiary popowstaniowych nieszczęść: „Polskie powstanie 1863 r. — pisał — zmuszając wbrew położeniu, w sprzeczności z rozumem i rozsądkiem do podniesienia sprawy polskiej bez warunków i możliwości rozwiązania jej, będąc powodem bezskutecznego postawienia jej na porządku dziennym, zadało gwałt naturze rzeczy i stosunkom europejskim. Przedstawia się zatem jako dzieło zniszczenia nie tylko dla narodu polskiego, ale w szerszych, **światowych rozmiarach**” [podkr. A. W.]<sup>34</sup>. Takie konstatacje i oceny trudno byłoby inaczej nazwać niż megalomanią narodowej klęski. Była to najczystsza konwencja myślenia o świecie w kategoriach „słoń a sprawa polska”.

W ocenie Koźmiana powstanie styczniowe było złem wyjątkowym, złem dla narodu, złem dla unicestwionej Europy, złem dla świata i jeszcze ogólniej — złem dla „natury rzeczy”. Na tak drastycznie negatywną, katastroficzną wręcz ocenę polskiej insurekcji nie zdobył się żaden ze stańczyków. I być może należałoby ją pozostawić na manowcach polskiego myślenia o historii i polityce i uznać za niegodną pamięci, gdyby nie fakt, że wzbudziła ona jedną z większych dyskusji ideowo-politycznych, jakimi Polacy zamknęli wiek XIX. Powiedzmy też od razu, Koźmian popełnił ewidentny błąd sądząc, iż książka jego znajdzie pełne zrozumienie i przyczyni się do modernizacji podupadłego, czy wręcz nieistniejącego już, stańczykowskiego stronnictwa.

<sup>30</sup> Ibid., s. 293.

<sup>31</sup> Ibid., t. 3, s. 167.

<sup>32</sup> Ibid., s. 171.

<sup>33</sup> Ibid., s. 169.

<sup>34</sup> Ibid., s. 170.

W rzeczywistości zawarty w niej obraz i ocena polskiej przeszłości nie tylko, że nie zmodernizowały, lecz po prostu „uwsteczniły” narodową doktrynę stańczyków. I stąd, być może, krakowski „bunt młodych”, którzy w 1896 r. wybrali pamięć Lelewela, bojkotując zarazem obchody ku czci Szujskiego<sup>35</sup>. Miał chyba rację Chłędowski pisząc, że w miarę upływu czasu Koźmian tracił instynkt polityczny<sup>36</sup>.

**2 — Teoria trzech stopni upadku.** Naświetlając genezę stronnictwa stańczyków Koźmian podkreślał, że w swoim czasie stanowiło ono nową szkołę myślenia politycznego, szkołę, której celem była odmiana chorobliwej mentalności Polaków. Chcąc oprzeć tak ukierunkowaną działalność na racjonalnych podstawach, należało postawić diagnozę choroby i sięgając w przeszłość poznać źródła i rodzaj polskich wad narodowych. Potrzebą chwili okazało się więc stworzenie „psychologii historii polskiej” i potrzebie tej zadość uczynił nie kto inny, tylko Józef Szujski. To właśnie jego historyczna ekspertyza miała upoważniać do takich ocen: „Naród polski bogato wyposażony w odwagę wojskową upośledzonym został pod względem odwagi cywilnej. Rzecz godna uwagi a dziwna, podczas gdy Polacy zdolnymi zawsze byli do wielkiej, do zuchwalstwa posuniętej względem wrogów śmiałości, nigdy nie umieli się na nią wobec siebie samych i między sobą zdobyć. Stąd zdrowe i rozsądne zdanie nie mogło w społeczeństwie uzyskać prawa obywatelstwa. Ten brak odwagi cywilnej, który miał swój początek w charakterze narodowym zbyt miękkim i skłonny do obłudy, wzmógł się i poniekąd wypielegnowany został instytucjami dawnej Rzeczypospolitej, które wymagały poklasku i głosów ogółu aby dojść do znaczenia. [...] Wszystkie szkody i klęski porozbiorowe, wyrządzone zostały bytowi narodowemu wskutek braku odwagi cywilnej, braku, który pociąga za sobą zatajenie wobec społeczeństwa własnego zdania, lub przeistoczenie go wbrew przekonaniu”<sup>37</sup>. Anachroniczność, „nieporadność polityczna”, „brak zmysłu i umiejętności administracyjnych” — oto pozostałe polskie wady narodowe, które, zdaniem Koźmiana, wytropił Szujski badając ojczyzną historię. Na ich to gruncie miała wyrastać typowo polska odmiana „patriotyzmu szkodliwego” — impulsywnego, krótkowzrocznego, hołdującego zasadzie liberum conspiro. Takiemu patriotyzmowi przeciwstawić należało „patriotyzm polityczny” — rozsądny, obliczony na wyniszczenie pleniącego się w duszy polskiej chwastu anarchiczności. Uświęcenie hasła „patriotyzmu politycznego” („rozumu politycznego”) poczytywał za główny powód do chwały swojego stronnictwa.

Krytyczne wizje polskiego charakteru narodowego kojarzą się bardzo często z tezą o samoupadku Rzeczypospolitej. Skojarzenie to nasuwa się zwłaszcza wówczas, gdy myślimy o historycznym pesymizmie szkoły krakowskiej, chociaż, powtórzmy, nie wszyscy z tych, którzy przyznawali prymat tezie o winach własnych, utrzymywali, że „finis Poloniae” odbył się całkowicie bez udziału sił „zewnętrznych”. Jeżeli Smolka mówił o „niezależnych od nas” okolicznościach historycznych<sup>38</sup>, miał na myśli w sposób oczywisty oddziaływania zewnętrzne, a w takim sformułowaniu krył się już niemal sens podobny do tego, który jawni przeciwnicy szkoły krakowskiej określali mianem

<sup>35</sup> Por. K. Śreniowska, *Młodzi historycy w walce z krakowską szkołą historyczną*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego”, ser. I, z. 4, s. 161–175.

<sup>36</sup> K. Chłędowski, *Pamiętniki*, t. 2, Wrocław 1951, s. 186.

<sup>37</sup> S. Koźmian, *Rzecz...*, t. 3 (cyt. za wyd. warszawskim 1903), s. 353–354.

<sup>38</sup> S. Smolka, *Wstępny wykład przy objęciu Katedry Historii Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim*, Kraków 1883, s. 21.

„zmowy sąsiadów”. Zdawać by się mogło, że jeszcze wyraźniej od jednostronnej interpretacji upadku Rzeczypospolitej odcinał się autor *Rzeczy o roku 1863*.

Swój pogląd na dzieje Polski usiłował on oprzeć na kilku ogólnych założeniach, które en bloc moglibyśmy określić mianem teorii „trójstopniowego upadku państw”. Upadek stopnia pierwszego miały powodować czynniki zewnętrzne — nieprzyjacielska akcja jednego lub kilku potężniejszych sąsiadów sprzysiężonych na zgubę niešťczęsnej ofiary. Drugi rodzaj, a zarazem stopień upadku, to wewnętrzna niemoc państwa i społeczeństwa prowadząca do rozpadu niezależnie od rozwoju sytuacji „na zewnątrz”. Natomiast rodzaj trzeci jednoczył w sobie dwa poprzednie — „był podwójnym wewnętrznym i zewnętrznym zarazem”<sup>39</sup>. Oczywiście, ranga konsekwencji, które pociągały za sobą poszczególne stopnie upadku była zróżnicowana. Najłżejszy i najłatwiejszy do przewyciężenia miał być upadek stopnia pierwszego, a dalej: drugiego („o wiele groźniejszy dla przyszłości niż pierwszy, bo ten upadek spowodowany jest własną winą”)<sup>40</sup> i trzeciego — kiedy to „powstaje takie niebezpieczeństwo, wobec którego nie ma ani środków ratunku, ani ratunku; katastrofa jest nieunikniona”<sup>41</sup>. Intencje takiej teorii były dość przejrzyste, zresztą sam jej twórca nie miał zamiaru ich ukrywać. Chodziło o to, by przekonać czytelnika, że upadek Polski to „okaz wyjątkowy, w dziejach jedyny, trzeciego stopnia upadku państwa, stopnia największego”<sup>42</sup>. Teoria stopni upadku, jakkolwiek nie przechodziła do porządku dziennego nad przyczynami zewnętrznymi, to jednak przypisywała im znacznie mniejszą wagę niż wewnętrznemu rozstrojowi państwa i narodu. Dwa pierwsze stopnie nie były wszak równorzędne, a w ich syntezie (jaką był stopień trzeci) dominantę stanowił drugi z nich — ten, który w znacznej mierze sprowadzał się do czynnika charakterologicznego. Spójrzmy bowiem, jak wyglądał dalszy tok myśli Koźmiana i do jakiej konkluzji on prowadził: „Zważywszy zaś, że na upadek Polski złożyły się nie jedna, nie kilka, ale wszystkie przyczyny, które powodować mogą znicestwienie państwa i to w stopniu dotąd w dziejach wyjątkowym, uznać również należy, że naród, który utworzył był państwo polskie, nie był w należyty sposób obdarzony zmysłem politycznym, to jest zbiorową zdolnością rozwijania, wzmacniania i zachowania kształtu państwowego, albo że jeżeli go miał niegdyś na tyle, aby utworzyć państwo, nawet znaczenie takowego rozszerzyć, nie miał go dosyć, aby je należycie wzmocnić i zabezpieczyć; lub też zmysł polityczny w tym narodzie stopniał”<sup>43</sup>.

Instrumentalny charakter teorii i też Koźmiana jest aż nadto widoczny. Służyły one uzasadnieniu kierunku reprezentowanego przez galicyjskich konserwatystów, choć pod względem ściśle konceptualnym, w porównaniu z treścią znacznie wcześniejszych wystąpień Szujskiego czy Bobrzyńskiego, nie stanowiły jakiegoś istotnego novum. Doszukać się go można natomiast w jawnym zaszeregowaniu „czynników zewnętrznych” do rzędu przyczyn upadku Rzeczypospolitej. I tu wprawdzie można powiedzieć, że tak Szujski, jak Bobrzyński nie tracili ich całkowicie z pola widzenia, jednak z całą pewnością zbyt nie eksponowali, podczas gdy Koźmian uczynił to w sposób otwarty. Przecież upadek stopnia trzeciego był syntezą obu poprzednich stopni, a pośród

<sup>39</sup> S. Koźmian, op. cit., t. 2, s. 3.

<sup>40</sup> Ibid., s. 3.

<sup>41</sup> Ibid., s. 3.

<sup>42</sup> Ibid., s. 5.

<sup>43</sup> Ibid., s. 5–6.

nich jako pierwszy występował ten, który mówił o „siłach zewnętrznych”. Była to z pewnością koncesja na rzecz przeciwników krakowskiej szkoły historycznej, chociaż jak się w efekcie okazało, koncesja niezbyt wielka. Rzecz w tym, iż wszystkie przyczyny zostały ostatecznie sprowadzone do tej, którą od początku eksponowali historycy krakowscy przypisując swemu narodowi brak lub zanik „zmysłu politycznego”. *Causa efficiens* w dalszym ciągu obciążała Polaków i ich charakter narodowy i taka była ostateczna wymowa teorii trzech stopni upadku.

**3 — Koncepcja bytu narodowego.** W wypowiedziach programowych stańczycy z całą pewnością nie nadużywali słowa „niepodległość”. Rozpoczynający polityczną karierę Bobrzyński mówił w 1883 r.: „Jeżeli też istotę tzw. stańczyków chcemy określić, to znajdziemy ją tylko w uchwyceniu myśli przewodniej, w postawieniu zasad, we wskazaniu kierunku naszego narodowego dążenia i ruchu. Opiera się ona na głębokiej wierze w żywotność naszego narodu, na niewzruszonym przekonaniu, że **własnymi siłami zdołamy odzyskać wszystko, powtarzam wszystko, cośmy stracili** [podkr. A. W.]”<sup>44</sup>. To nie nazwane po imieniu „wszystko” było dostatecznie niedookreślone, by nie można było posądzić mówcy o nielojalność w stosunku do c.k. monarchii, zarazem jednak dość przejrzyste dla tych, którzy w niepodległości upatrywali wartość niezbywalną. Przypomnijmy jednak, że od roku 1878, a dokładniej od chwili, gdy na łamach „Czasu” Koźmian ogłosił pierwszy, trójlojalistyczny program swego stronnictwa, wielu uznało, że stańczyków jedynie niewielki krok dzieli od narodowej apostazji. I mimo że rację ma Rett R. Ludwikowski przyznając, iż ostatecznie konserwatyści galicyjscy „kroku tego nie postawili”<sup>45</sup>, to przecież wezwanie do „trójpatriotyzmu”, jak złośliwie określili trójlojalizm „tromtadraci”, rzeczywiście mogło nasuwać takie podejrzenia. Bobrzyński chciał zatem uspokoić podejrzliwych i chyba niejednego z nich uspokoił, lecz w kilkanaście lat później, po ukazaniu się *Rzeczy o roku 1863*, sprawa ponownie się zaktualizowała.

Zgodnie z dobrą stańczykowską tradycją pomysły polityczne autora *Roku 1863* zasadzać się miały na „prawdziwej”, a nie „falszywej” wykładni dziejów Polski, ta zaś nakazywała ponoć traktować Rzeczpospolitą wieku XVIII jako obszar przejawiania się tragicznej antynomii. Oto, upadek ducha publicznego pchał państwo do zguby, zarazem jednak odrodzenie się tegoż w epoce stanisławowskiej „narażało wciąż istnienie narodu, a wszelkie jego objawy, który okazywały się w usiłowaniach odzyskania niepodległości, wtrącały go stopniowo w coraz gorsze położenie, niweczyły środki prowadzące do celu i warunkowi koniecznemu, bytowi narodowemu, dotkliwie zadawały ciosy. Upadek ducha publicznego był haniebny, odrodzenie się takowego stało się niebezpiecznym. Upadek prowadził do zguby, odrodzenie niweczyło lub oddalało ratunek”<sup>46</sup>. Rzecz w tym, iż odrodzony duch publiczny nie potrafił utrzymać się w bezpiecznych rozmiarach i popadł w „gorączkę” równie zgubną, jak jego poprzednia prostracja. Był to objaw samobójczy i dość wyjątkowy. Jedynie Żydzi<sup>47</sup> mieli w sobie podobne skłonności.

<sup>44</sup> M. Bobrzyński, *Stańczyk*, w: idem, *Szkice i studia*, t. 2, s. 129. Cyt. za W. Łazuga, *Michał Bobrzyński. Myśl historyczna a działalność polityczna*, Warszawa 1982, s. 87.

<sup>45</sup> R. R. Ludwikowski, op. cit., s. 173.

<sup>46</sup> S. Koźmian, op. cit., t. 2, s. 8.

<sup>47</sup> Zob. wyżej, s. 71, przyp. 20.



Głównymi przejawami gorączki samobójczej miało być niecierpliwie dążenie do niepodległości i odrodzenia państwa polskiego w granicach z 1772 r. Dążenie to cechowało i determinowało poczynania dwóch porozbiorowych pokoleń Polaków, które nie potrafiły zrozumieć jego nierealności płynącej z „oczywistej” prawdy, iż „kto stopniowo upadał tylko stopniowo podnosić się może, jeżeli trwale podnieść się chce”<sup>48</sup>. Jakie jest zatem wyjście z owej sytuacji, w której uwiad ducha publicznego prowadzi do upadku, a jego gorączkowe ożywienie również? Wyjściem tym jest zachowanie „bytu narodowego”<sup>49</sup>.

A niepodległość? Na to pytanie Koźmian odpowiadał odwołując się raz jeszcze do swego koronnego pomysłu, jaki zastosował w „teorii upadku państw”. Wszystko jest stopniowalne — niepodległość również: „Są różne dla narodów stopnie niepodległości. Dla tego, który stracił najwyższy, zachowanie najniższego już jest trudnym zadaniem. Ale odpychanie wszystkich innych prócz najwyższego jest szaleństwem. Naród polski mógł i powinien był wedle okoliczności szanować wszelkie stopnie niepodległości od półniepodległości do samodzielności narodowej bez jedności geograficznej”<sup>50</sup>. Zwróćmy większą uwagę na ów „niepodległościowy” diapazon, u dołu którego pomieszczona została bliżej nie określona „półniepodległość”, a u szczytu — „samodzielność narodowa bez jedności geograficznej”, bo przecież „jedność geograficzna” to nic innego jak terytorium państwowe. Bez względu na to, czy było to zręczne, czy niezręczne, świadome, czy nieświadome, Koźmianowa skala kończyła się na „niepodległości bezpaństwowej” (jeśli chodzi i Polskę) i „trójpaństwowej” (jeśli chodzi o Rosję, Austrię i Niemcy), czyli tam, gdzie się nawet nie zaczynała mówiąc o „półniepodległości”. Ale i taka „niepodległość” jawiła się jako cel niezwykle odległy. Na co dzień pozostawała więc troska o „byt narodowy”.

Mimo iż z troski o zachowanie „bytu narodowego” Koźmian uczynił jedną z naczelnych kategorii zawartego w *Roku 1863* programu politycznego, w sposób bliższy określił to pojęcie dopiero w tomie III swego dzieła i to pod wyraźnym wpływem krytyki, która dwóm pierwszym tomom zarzuciła między innymi świadomą rezygnację z hasła niepodległości. W związku z tym to, co przyniósł tom III, było wyraźną próbą załagodzenia twierdzeń zawartych w tomach poprzednich, jakkolwiek w ostatecznym rozrachunku odejście od wcześniejszej linii politycznej nie było zbyt duże. Rzeczą najistotniejszą było to, że zamykając *Rok 1863* Koźmian podjął w końcu próbę wyjaśnienia pojęcia konstytuującego cały jego program polityczny, próbę jednak niezbyt oryginalną w stosunku do koncepcji formułowanych przez Szujskiego w końcu lat siedemdziesiątych<sup>51</sup>. Troska o zachowanie „bytu narodowego” miała polegać na: 1 — „posiadaniu ziemi przez Polaków oraz na zamożności we wszystkich kierunkach całego społeczeństwa”, 2 — „moralności ogólnej, która nie może się obejść bez podstawy religijnej, zatem na religii, że zaś dzieje i położenie narodu między dwoma innymi różnej od niego wiary niezmiernie podnoszą dla polskiego społeczeństwa znaczenie katolicyzmu, że on zrósł się z jego historią, obyczajami i istotą, że jest

<sup>48</sup> S. Koźmian, op. cit., t. 2, s. 13.

<sup>49</sup> Ibid., s. 11.

<sup>50</sup> Ibid., s. 9.

<sup>51</sup> Zob. M. Jaskólski, *Historia — naród — państwo. Zarys syntezy myśli politycznej konserwatystów krakowskich w latach 1866–1934*, Kraków 1981, s. 124–127. Wg Jaskólskiego brak nowych pomysłów ze strony Koźmiana można uznać nawet za „miernik petryfikacji programu stańczyków” (s. 125).

bezwzględna prawda, więc na katolicyzmie”, 3 — na języku i piśmiennictwie, 4 — na obyczaju i „cywilizacji” oraz 5 — na tradycji i historii, które są „podstawą i duszą obyczaju i cywilizacji”<sup>52</sup>. I znów, podobnie jak w przypadku „teorii upadku państw” czy eksplikacji pojęcia niepodległości, Koźmian odwołał się do koncepcji „stopniowości”. Najsilniejszym stopniem bytu narodowego miała być niepodległość, podkreślał jednak, iż „byt” może również rozkwitać na stopniach niższych, w „warunkach najbardziej od niepodległości różnych i oddalonych”.

Relacja „byt narodowy” — niepodległość została w ujęciu Koźmiana wyjątkowo zagmatwana. Gdybyśmy chcieli na przykład nadać jego teorii i programowi politycznemu wymowę niepodległościową, to nic prostszego, jak odwołać i ograniczyć się do następującego cytatu: „Najwznioślejszy cel narodu, który stracił niepodległość, odzyskanie takowej, ma niezawodnie tę moc, która tem samem udziela się w życiu codziennym pracy i usiłowaniu około bytu narodowego. Pozbawienie takowej społeczeństwa jest więc osłabieniem jego bytu narodowego, jest próbą niebezpieczną, która naraża ten byt na szkodę”<sup>53</sup>. Idea niepodległości posiada więc niezwykłą moc i użyteczność dla kultywowania bytu narodowego, lecz z drugiej strony próba bliższego „zmierzenia” stopnia tej mocy i użyteczności w odniesieniu do **narodu polskiego** prowadzi Koźmiana do wniosku podważającego wyjściowe założenie: „Wobec doświadczeń historii, wobec wyjątkowego położenia stworzonego rozbiorem, wobec właściwości charakteru narodowego, wobec wszystkiego nad czem powyżej zastanawialiśmy się i co nam przyszło zapisać, wobec następstw ostatniej klęski, która była syntezą i zespoliła w sobie całą epokę naszych porozbiorowych dziejów; właśnie na gruncie rzeczywistości pozytywnej i praktycznej polityki, dochodzi się po ścisłym obliczeniu do konkluzji, że owa użyteczność przemieniła się w szkodę, że owa moc stała się słabością, bo byt narodowy nie tylko nierównie więcej strat niż korzyści za ich przyczyną poniósł, ale zagrożony został w swej treści i istocie tak dalece, że cel [niepodległość — A.W.] stał się samego siebie, bo własnego niezbędnego warunku, to jest bytu narodowego, zniszczeniem [...] Wystarczyłoby to, aby przekonać, że niebezpieczeństwo wyzucia się z owej użyteczności i mocy [jaką daje idea niepodległości — A.W.] mniejsze jest niż to, które pociąga za sobą zachowanie takowych”<sup>54</sup>. Cały ten wywód uzasadniać miał jedną jedyną dyrektywę — Polacy **winni odrzucić ideę i hasło niepodległości** jako wpływające destrukcyjnie na ich byt narodowy. Dla zażegnania mogących się rodzić wątpliwości i być może w celu uprzedzenia ewentualnych głosów krytycznych Koźmian łagodził nieco wymowę tej tezy ostrzegając, iż gdyby odrzucenie idei niepodległości miało zaprzepaścić w przyszłości „myśl narodową”, „naród polski zgotowałby sobie nie koniec, ale hańbiące, godne pośmiewiska, najnędniejsze istnienie”<sup>55</sup>. Rezygnacja z niepodległości okazywała się w tym ujęciu zupełnie czym innym niż rezygnacja z patriotyzmu i „myśli narodowej”.

Galicjyjscy stańczycy zarzucali romantykom, że ci ujmowali dzieje Polski w kategoriach wyjątkowości, że czyniąc Polskę Chrystusem narodów, Winkelriedem Europy, „szermierzem wolności” usuwali ją niejako spod praw, którym miały podlegać „wszystkie społeczeństwa”. Tymczasem idea wyjątkowości polskiego procesu dziejo-

<sup>52</sup> S. Koźmian, op. cit., t. 3, s. 346–347.

<sup>53</sup> Ibid., t. 3, s. 337.

<sup>54</sup> Ibid., s. 336–337.

<sup>55</sup> Ibid., s. 339.

wego co najmniej w równej mierze zaważyła na poglądach „stronnictwa krakowskiego”, przyjmując wszelako w odróżnieniu od „romantycznej” wyjątkowości pozytywnej (idealizowanej i gloryfikowanej) postać wyjątkowości negatywnej (odejście od linii rozwojowej Zachodu, zagubienie „właściwej” drogi itp.)<sup>56</sup>. Nie ma tu potrzeby wracać do koncepcji anomalnego (a więc wyjątkowego) rozwoju Polski, jakie zarysowały się w myśli historycznej Szujskiego czy Bobrzyńskiego, warto jednak podkreślić, że i Koźmian pozostawał pod urokiem tej tezy, uzupełniając ją własnymi konceptami. Wyjątkowy i w „dziejach jedyny” był upadek państwa polskiego („trzeciego stopnia”), wyjątkowy był brak rozumu politycznego przejawiany przez dwa pierwsze pokolenia porzobiorowe, wyjątkowe samobójcze „nawyknięcie” Polaków, wyjątkowe skutki powstania styczniowego („nie ma już Europy”), wyjątkowe na koniec odstępstwo od reguły mówiącej o tym, że idea niepodległości wzmacnia, a nie osłabia „byt narodowy”.

Czy program polityczny budowany na tyłu założeniach o „wyjątkowości” mógł zostać wcielony w życie? Zdaniem Koźmiana mógł, bo przecież to właśnie stańczycy sprawili, „że po klęsce zamiast zwykłego upadku ducha i apatii, zawrzało na wszystkich polach i we wszystkich kierunkach w jednej części Polski życie, podjęta została praca, zajaśniały talenta i zdolności, powstało piśmiennictwo polityczne, nauka na nowe weszła tory, sztuki piękne ogólne budziły zajęcie, zagajając się zaczęły rany społeczne, dobrobyt otoczyła pewna troska i nastąpiła znacząca nie bez zasług, a nawet pewnej świetności era”<sup>57</sup>. Rzecz prosta największymi osiągnięciami „system stańczykowski” (określenie Koźmiana) szczylił się na terenie Galicji, mniejszymi natomiast pod panowaniem niemieckim, a najmniejszymi w Kongresówce, „gdzie mógł chronić tylko przed stratami i klęskami spowodowanymi własną winą”<sup>58</sup>. Był to jednak mimo wszystko system trójzaborowy, dający najlepszą receptę na obronę i zachowanie bytu narodowego wszystkim Polakom. A oto, na czym polegał ów przepis: „Środkiem najdoskonalszym znalezienia pod panowaniem obcym warunków najkorzystniejszych dla bytu narodowego, zarazem najdzielniejszym zwalczania anarchii, uznała szkoła [„stańczykowska” — A. W.] porozumienie z istniejącym porządkiem rzeczy, uznanie i wspieranie władzy, lojalne skupienie się koło tronu i szukanie u niego opieki dla swoich przyrodzonych praw, uczciwe współdziałanie w interesie państwa; po zespoleniu z takowem praw i potrzeb bytu narodowego”<sup>59</sup>. Był to po prostu, jeszcze „mocniejszy” niż dawniej, program trójlojalizmu.

#### *Kilka kartek z dziejów „retoryki samobójstwa”*

Oczywiście najlepszą receptę miała *Rzecz o roku 1863* w kręgach tych, których program starała się uzasadnić. Krakowski „Czas” poświęcił jej całe naręczce artykułów i recenzji utrzymanych przeważnie w tonie najwyższego uznania, przy czym, jeśli wierzyć Kazimierzowi Bartoszewiczowi, tych „większych” tekstów było około pięćdziesięciu, tych „mniejszych” około stu<sup>60</sup>. A przecież „Czas” nie był jedynym pismem

<sup>56</sup> Szerzej na ten temat piszę w: *Wschód–Zachód...*, s. 255–258. Zob. też S. Filipowicz, *Ujarmienie rozumu politycznego. Polityczne horyzonty krakowskiej szkoły historycznej*, Warszawa 1984, s. 110 n., gdzie interesująca analiza koncepcji polskiej „odmienności” u Szujskiego.

<sup>57</sup> S. Koźmian, op. cit., t. 3, s. 374.

<sup>58</sup> Ibid., s. 371.

<sup>59</sup> Ibid., s. 356.

<sup>60</sup> K. Bartoszewicz, zasłużony krakowski wydawca, publicysta i historyk od początku żywo reagował na

wykazującym wzmożone zainteresowanie *Rokiem 1863*<sup>61</sup>. Trudno się dziwić nieprzychylnemu stańczykom Bartoszewiczowi, że w owym wybuchu zainteresowania książką Koźmiana dostrzegał zorganizowaną akcję polityczną noszącą znamiona „amerykańskiego humbugu reklamowego”, i to tym bardziej, iż: „Nie tylko dziennikarstwo polskie, ale nawet zagraniczne zwróciło uwagę na tę książkę. Obok zacnej «Neue Freue Presse», która jak już wspomniałem powitała w osobnych artykułach pojawienie się tego arcydzieła, poświęcił mu odcinek szlachetny «Neues Wiener Tagblatt», nazywając *Rzecz* «tak dalece sprawiedliwie i odważnie napisaną książką, że przed dwudziestu jeszcze laty autor zostałby ogłoszony zdrajcą ojczyzny» i zaręczając, że «dziś Polacy będą mu wdzięczni za nią jako za czyn patriotyczny». Nawet «Figaro» i «Nowoje Wremia» pomieściło o *Rzeczy* artykuły, w których to ostatnie uwierzyło, że «na czele stronnictwa konserwatywnego znaleźli się w roku 1863 Koźmian, Wodzicki i bracia Tarnowscy». I Bułgaria nie pozostała w tyle. Wprawdzie jej dzienniki nie zajmowały się *Rzecz*ą, ale «Czas» donosił czarno na białym, że prezes gabinetu bułgarskiego Stoilow chce się zapoznać z tym kolosem. Nie dochodziły tylko wieści z Portugalii, Szwecji, Grecji, Holandii itp., ale mam niepłonną nadzieję, że z czasem dowiemy się, jakie w tamtych krajach zrobiła wrażenie książka pana Koźmiana»<sup>62</sup>. Może Bartoszewicz nieco przesadzał, ale faktem jest, że to na łamach „Czasu” Alfred Szczepanowski nazwał *Rzecz o roku 1863* „książką mądrości narodu”, postulując zarazem szybką jej reedycję — „ażeby dzieło znalazło się w każdym domu, ażeby wszędzie mogło być zrozumiałem i wpływ zbawienny wywierać”<sup>63</sup>, a w innym artykule można było przeczytać taką oto ocenę: „Nie trzeba sądzić, że szkoła stańczykowska jest tylko szkołą prowincjonalną. Być może, że twórcom jej przyświecał z początku jedynie wzgląd na stosunki Galicji. Dzisiaj jednak, a szczególnie po dziele K., nabiera ta szkoła znaczenia ogólnie polskiego. To dzieło, które zasady tej szkoły dogmatyzuje, stwarza w gruncie rzeczy po raz pierwszy system polityczny polski, oparty na systemie szkoły, uważanej dotychczas za galicyjską. Koźmian, którego nazwano szefem sztabu generalnego tej szkoły, który był najlepszym taktikiem politycznym, nadał Stańczykom przez swe dzieło nowe znaczenie”<sup>64</sup>.

Nie miejsce tu na dokładniejsze omówienie oddźwięku, jaki znalazła książka Koźmiana w ówczesnej prasie. Odnotować jednak wypadnie, że artykuły na jej temat spotkać można było w dziennikach i periodykach o różnych barwach politycznych i różnych profilach tematycznych, w tym w „Gazecie Lwowskiej”, „Gazecie Narodowej”, „Nowej Reformie”, „Przeglądzie Polskim”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Dzienniku Polskim”, „Świecie”, „Kwartalniku Historycznym”, „Kurjerze Lwowskim”, „Przełomie” (Wiedeń), „Przeglądzie Politycznym, Społecznym i Literackim”,

---

kolejne tomy *Rzeczy o roku 1863*. Jego recenzje i polemiki z Koźmianem drukowane były w „Przeglądzie Poznańskim”, „Głosie Narodu”, „Dzienniku Polskim”, „Dzienniku Krakowskim” po to, by ostatecznie przybrać formę dwutomowego wydawnictwa książkowego. Książka ta, opublikowana w latach 1895–1896 pt. *Rok 1863. Historia na usługach ludzi i stronnictw. O książce i z powodu książki p. Koźmiana*, wydana została wprawdzie w niewielkim formacie 16-ki, liczyła jednak bez mała 500 stron, co jak na recenzję, choćby nawet trzypięciotomowego dzieła, było rzeczą dość nietypową.

<sup>61</sup> Niepełna, jakkolwiek dość miarodajna, by zilustrować zakres recepcji *Roku 1863*, bibliografia znajduje się w: *Nowy Korbut*, t. 14, Warszawa 1973, s. 515.

<sup>62</sup> K. Bartoszewicz, *Rok 1863. Historia na usługach ludzi i stronnictw*, t. 2, Kraków 1896, s. 77–78.

<sup>63</sup> „Czas” 1895, nr 96, s. 1.

<sup>64</sup> „Czas” 1895, nr 98, s. 1.

„Głosie” itd. I znamienne, najsilniejsze rozdzźwięki w ocenie *Rzeczy...* wystąpiły między galicyjskimi konserwatystami a demokratycznymi liberałami ze środowiska „Nowej Reformy”. Oczywiście, na charakterze ostrych polemik i drastyczności przytoczanych w nich argumentów zaważyły dawne, a teraz zaktualizowane i zintensyfikowane animozje. Nie można jednak pomijać również faktu, że Galicja cieszyła się w porównaniu z innymi zaborami szczególną swobodą wypowiedzania myśli. W tym i tych, które krążyły wokół polskiej niepodległości.

Byłoby uproszczeniem twierdzić, że wszyscy konserwatyści zachłystywali się z zachwytu nad treściami, jakie przynosiła *Rzecz o roku 1863*, a wszyscy „demoliberalowie” pałali oburzeniem. Nawet na łamach „Czasu” zdarzały się wypowiedzi sceptyczne i pełne niepokoju co do skutków, jakie może wywołać dzieło Koźmiana<sup>65</sup>. W wypowiedziach konserwatystów odnaleźć można było niemało akcentów krytycznych szczególnie pod adresem „teoretycznych” mankamentów i niedopowiedzeń *Rzeczy o roku 1863*. Oczywiście nie oznaczało to zanegowania jej głównej linii programowej. Tak było np. z Wojciechem Dzieduszyckim, który odrzucając „ze stanowiska filozofii historii” teorię trzech stopni upadku (wysztychowaną skądinąd niemal przez wszystkich polemistów Koźmiana bez względu na ich polityczną orientację), przyjmował zarazem trójlojalistyczną wykładnię koncepcji „bytu narodowego”, przekonując przy tym wątpiących, że w Koźmianową rezygnację z dążeń do niepodległości nie można wierzyć, tak „jak nie można uwierzyć człowiekowi, który mówi, że nie pragnie własnego szczęścia...”<sup>66</sup>.

Z podstawowymi wytycznymi Koźmiana zgadzał się też Stanisław Tarnowski, który jednak bez porównania łagodniej i można rzec, taktowniej oceniał powstanie styczniowe. Nie przeszkodziło mu to wszakże wyrazić absolutnego sprzeciwu wobec dążeń insurekcyjnych i, co ciekawe, sprzeciwu umotywowanego wskazaniem religijnymi. A oto jak wyglądał tok „religijnej” argumentacji Tarnowskiego: „Powtarzające się zbrojne walki, co jedna, to mniej silna, co jedna, to więcej wycieńczająca, muszą wytoczyć z tego narodu stopniowo całą krew i wszystkie siły życia; muszą doprowadzić go do takiego stanu osłabienia i prostracji, że po długich zwątpieniach i rozpaczach on dojdzie do bezwładności zupełnej, stanie się niezdolnym myśleć, chcieć i dążyć. My nie doszliśmy jeszcze do tego kresu, ale już do nieobliczalnego ubytku zasobów życia, do wzmożenia się w tym samym stosunku potęgi nieprzyjaciela. Doświadczenie całego wieku wskazuje, że jest to droga powolnego **samobójstwa** [podkr. A. W.], podobnego do śmierci tych Rzymian, co sobie otwierali żyły w kąpielu. Jeśli zaś popęd ludzkiego uczucia mówi, że taki koniec jest honorowy i godny, to przykazanie boskie mówi, że jest zły. Samobójstwo jest narodowi tak samo niedozwolone, jak jednemu człowiekowi. Jest więc oprócz wszystkich politycznych i świeckich względ religijny, który każe narodowi utrzymywać życie, utrzymywać byt — być i być o ile możności jak najzdrowszym, jak najsilniejszym...”<sup>67</sup>. W ten sposób doszliśmy do kolejnego, urzekającego wręcz, przykładu „retoryki samobójstwa” w wydaniu stańcówskich konserwatystów.

<sup>65</sup> Jedną z takich wypowiedzi przytacza A. Skotnicki w: *Stronictwo krakowskie o styczniowym powstaniu 1863 r. Rozprawa w Kole Literackim we Lwowie o książce p. Stanisława Koźmiana p.t. „Rzecz o 1863 r.”*, Lwów 1895, s. 251–252.

<sup>66</sup> *Stronictwo krakowskie...*, s. 161–162.

<sup>67</sup> „Przegląd Polski” 1895, t. 116, s. 497–556.

Ale oddajmy sprawiedliwość wszystkim. Cóż bowiem powiadali „demoliberałowie” poddając dzieło Koźmiana totalnej negacji. Czołowy publicysta „Nowej Reformy”, a zarazem główny oponent „szefa sztabu generalnego”, Tadeusz Romanowicz tak oto pisał ustosunkowując się do sformułowanej na łamach „Czasu” tezy, iż „teoria bytu narodowego” winna wyznaczać sposób działania kilkunastu najbliższych pokoleń Polaków: „Mnie się też zdaje, że gdyby na kilka wieków<sup>68</sup> odjąć narodowi tę myśl przewodnią, iż może odzyskać byt polityczny, gdyby przez kilka wieków kazać mu prowadzić politykę, która ratuje dorobki i korzyści chwili, a nie myśli o jutrze, to polityka taka z konieczności nazwana musi być polityką **samobójstwa**”<sup>69</sup>. Nie lepiej oceniał Romanowicz zasadę trójlojalizmu: „Dochodzi się wtedy do tej prawdziwie przerażającej, monsturalnej konsekwencji, że Polacy, którzyby według recepty p. Koźmiana, uczciwie współdziałali w interesie każdego z tych państw i «lojalnie skupili się około tronu» — musieliby działać wrogo jedni przeciw drugim, wzajemnie jedni drugich działalność paraliżować — musieliby — w chwili jakiego wielkiego dziejowego rozstrzygnięcia — całymi zastępami stawać pierś przeciw piersi, broczyć w krwi bratniej, nie jako nieszczęśliwi niewolnicy przymusem na tę straszną, bratobójczą walkę gnani — ale dobrowolnie, ochoczo spełniając ołowiązek «uczciwego współdziałania» w interesie państwa, obowiązek lojalnego skłupienia się koło tronu. Program trzech lojalności jest programem **samobójstwa** i destrukcji [podkreślenia A. W.]”<sup>70</sup>. Podobnie argumentował Wincenty Lutosławski, który koncepcję kultywowania bytu narodowego bez niepodległości określił mianem „**samobójczego racjonalizmu**”<sup>71</sup>.

Jednym z nielicznych, którzy usiłowali zlokalizować dokładniej stańczyków na tle ogółu konserwatystów galicyjskich był Kazimierz Bartoszewicz, według którego „odłam” stańczykowski należał już do przeszłości, a to co robił Koźmian było jedynie próbą wskrzeszenia tego stronnictwa. Miała to być próba szczególnie fałszywa i wręcz samobójcza tam, gdzie doktryna lojalności wkięła Polaków w odwieczny konflikt Wschodu i Zachodu<sup>72</sup>. „Tam” oznaczało oczywiście prawosławną Rosję, toteż Bartoszewicz, który skądinąd nie darzył zbyt dużą estymą ani „starych”, ani usiłujących się „odnowić” stańczyków, opowiadał się wyraźnie po stronie tych pierwszych przypominając i przestrzegając zarazem: „Trzymajmy się Zachodu — wołał jeszcze na łożu śmiertelnym stańczyk Szujski — który pewnie, gdyby żył, odrzekłby się swego stańczykostwa, gdyby ono miało zachęcać do wejścia na drogę trójlojalności, wynalezioną przez p. Koźmiana. I Paweł Popiel odrzekłby się współojcostwa stańczyków, gdyby widział jak pod wpływem przedśmiertnych dreszczów tego bractwa bredzi w gorączce jego historyk i apologeta”<sup>73</sup>. Trudno się oprzeć wrażeniu, że „koniec wieku” w sposób szczególnie gustował w organicystycznej metaforyce choroby i śmierci.

<sup>68</sup> Inny z polemistów — A. Skotnicki — zwrócił uwagę, że „kilkanaście pokoleń” oznacza okres kilku stuleci. Zob. *Stronnictwo krakowskie...*, s. 108.

<sup>69</sup> *Ibid.*, s. 48.

<sup>70</sup> *Ibid.*, s. 215–216.

<sup>71</sup> „Przełom”, 8 VI 1895. Cyt. za idem, *Idea Polska...*

<sup>72</sup> Zob. M. Król, *Konserwatyści a niepodległość*, Warszawa 1985, s. 225–232, gdzie miarodajne naświetlenie tej kwestii w odniesieniu do myśli stańczykowskiej. Por. też: H. S. Michalak, *Józef Szujski 1835–1883. Światopogląd i działanie*, Łódź 1987, s. 161–163.

<sup>73</sup> K. Bartoszewicz, *op. cit.*, t. 2, s. 299–300.

Samobójcza polityka, samobójcze skłonności — to określenia, które dość często padały w toku ówczesnych sporów i polemik. Początkowo szermowali nimi głównie galicyjscy konserwatyści (nie wszyscy rzecz prosta), później szermowano nimi przeciwko tymże konserwatystom. Różnica polegała jednak na tym, iż „szkoła stańczykowska”<sup>74</sup> skłonna była samobójcze skłonności przypisywać całemu narodowi i w odwołaniu do nich wyjaśniać bieg dziejów Polski, natomiast strona przeciwna „retorykę samobójstwa” obejmowała nie co innego tylko program polityczny stańczyków. Była to różnica istotna. Bez względu jednak na jej charakter i znaczenie jedno nie ulega wątpliwości — nie można pisać ani o stańczykach, ani o związanej z nimi historiografii bagatelizując czy wręcz ukrywając ową „retorykę samobójstwa”. Chyba że chcielibyśmy tworzyć legendę.

### *Jeszcze o „legendzie”*

Długo można by pisać o reakcjach, jakie w różnych kręgach politycznych spowodowała *Rzecz o roku 1863*, lecz to miałyby się z celem niniejszego szkicu. Wydaje się natomiast, iż zarysowany został w nim dostatecznie wyraziście kontekst niezbędny do naświetlenia pewnego epizodu, mogącego nadać nieco oryginalniejszą postać dość jednostronnej, przeważnie bowiem „czarnej”, legendzie krakowskiej historiografii konserwatywnej.

W roku 1895 ukazała się nieco ponad stustronicowa książeczka hrabiego Moszyńskiego zatytułowana *Obrachunek z „Rzecz” p. Stanisława Koźmiana „O roku 1863” z jej autorem i tegoż przyjaciółmi*. Już sam tytuł publikacji zapowiadał, że treść jej nie będzie dla stańczyków przychylna i rzeczywiście Moszyński, jakkolwiek znane mu były tylko dwa pierwsze tomy książki Koźmiana, nie potrafił oprzeć się pokusie, by wyrównać swe dość stare, jak się okazało, porachunki.

Czytając książkę Moszyńskiego można się dowiedzieć, że jej autor wychowany początkowo w kulcie insurekcyjnego czynu przeszedł po upadku powstania styczniowego metamorfozę polityczną, a wyraziwszy jej istotę w formie odrębnego artykułu, w roku 1875 udał się pełen ufności do redakcji „Przeglądu Polskiego” — pisma, które pod względem ideowym wydawało mu się najbliższe. I oto czekało go wielkie rozczarowanie, ponieważ ani stańczyk Szujski, ani stańczyk Tarnowski nie wyrazili zgody na publikację. Co więcej, w pięć lat później inny stańczyk, „Pan Stanisław Koźmian wydał hasło pokrycia milczeniem wszystkiego co wyjdzie spod mojego pióra”<sup>75</sup>. Według Moszyńskiego stańczyków miał przerażać śmiały i otwarty ton jego haseł politycznych, w których idei trójlojalizmu towarzyszyła idea wyrzeczenia się przez naród wszystkich celów niemożliwych do realizacji. „Takim celem — wyjaśniał Moszyński — od stu lat była idea niepodległości. [...] A jednak dla tej utopii poświęcało się przez sto lat byt i rozwój narodowy! Dezorganizowano się społecznie, bo fałsz, kłamstwo, apatię i rozpacz wprowadzano w żyły polskiego narodu [...] Idea niepodległości więc jest zabójczą już z samego względu na szkodę, którą wyrządza rozwojowi narodowemu”<sup>76</sup>. Trudno się dziwić, że pisząc takie rzeczy Moszyński nie mógł przedostać się nawet na łamy „Przeglądu Polskiego”. Zrozumieć miał wtedy obłudę

<sup>74</sup> Przypominam, że jest to określenie Koźmiana, występujące również często na łamach ówczesnego „Czasu”, „Nowej Reformy” i innych zróżnicowanych politycznie pism.

<sup>75</sup> J. Moszyński, *Obrachunek z „Rzecz” p. Stanisława Koźmiana „O roku 1863”*, Kraków 1895, s. 110.

<sup>76</sup> *Ibid.*, s. 99.

stańczyków, którzy, jak twierdził, okazali się jeszcze jedną polską „konspiracją”, tyle że „papierową”, bo „obietującą narodowi wywalczyć Polskę za pomocą Austrii”<sup>77</sup>. Urażony hrabia zamilkł na długie lata i dopiero ukazanie się książki Koźmiana sprawiło, że postanowił publicznie przemówić. Zrozumiał wszak, że stańczycy nareszcie dojrzeli politycznie i odrzucili cały konspiracyjno-niepodległościowy balast. Lecz jeśli tak, to autorstwo nowej koncepcji należało się właśnie jemu, a nie Koźmianowi, który nie dość że przyswoił sobie wymyślony przez Moszyńskiego program polityczny, to jeszcze go zniekształcił dorabiając doń „ogon najgłupszych frazesów”<sup>78</sup>. Takim praktykom należało się przeciwstawić i tak powstała książka, w której hrabia zarzucał „szefowi sztabu generalnego stańczyków” kradzież własności intelektualnej. Książka ta stanowi wymowne świadectwo nie tylko narodowej apostazji, ale i całkowitego braku krytycyzmu jej autora. Różne optyki prowadziły do różnych ocen. Okazywało się, że była też i taka, która nawet w redakcji „Przeglądu Polskiego” potrafiła umiejscowić niepodległościową konspirację.

Nie ulega wątpliwości, iż *Rzecz o roku 1863* miała ogromny rezonans i wywołała jedną z największych polskich dyskusji ideowo-politycznych „tamtego” (można już chyba tak powiedzieć) fin de siècle’u. Był to jednak rezonans tyleż silny, co krótkotrwały. Nie znaczy to rzecz prosta, że można go bagatelizować. Jeśli zważyć, iż nigdy potem „szkoła stańczykowska” nie zdobyła się na poważniejsze skorygowanie swego politycznego credo<sup>79</sup>, program Koźmiana stał się niejako ostatnim słowem stańczyków, słowem, z którym odchodzili oni w przeszłość. Trafnie ujął to Michał Jaskólski pisząc, że „Finał stańczykowego «kształtu bytu narodowego» w latach wojny a zwłaszcza u jej schyłku, jest ewidentnym dowodem jego wewnętrznego zasklepienia się i niemożności wyjścia polityków krakowskich ze swymi koncepcjami dalej niż poza zmodyfikowany ustrój państwa Habsburgów”. Nie można się dziwić, że po roku 1918, w niepodległej Polsce „książkę mądrości narodu” pokrył kurz zapomnienia. Niespodziewanie w czterdzieści lat później, w roku 1958 złożono jej hołd na łamach „Przeglądu Polskiego i Obcego”. Wówczas to Stanisław Kostka-Rostworowski, zaliczając Koźmiana do „nielicznego grona najwybitniejszych teoretyków politycznych, jakich na przestrzeni dziejów wydał naród polski”, wyraził przekonanie, iż myśl zasłużonego stańczyka bynajmniej nie zdezaktualizowała się „a kapitalne dzieło *Rok 1863*, które jako testament pozostawił narodowi, zasługuje w pełni na zaszczytną nazwę KATECHIZMU POLITYCZNEGO [majuskuła Kostki-Rostworowskiego — A. W.]”<sup>80</sup>. Czy takie słowa nie prowadzą nas w kierunku „złotej” legendy krakowskich konserwatystów?

Nigdy nie miałem pełnej jasności co do tego, jaki w istocie kolor należy przeciwstawić „niedobrym”, „czarnym” legendom — biały, różowy, złoty? Być może zresztą jest to mniej istotne w odniesieniu do historiografii stańczykowskiej, która, jak się wydaje, zdołała doczekać się jedynie „czarnej legendy”. Czy jednak wszystko to, co nie było i nie jest apologią tej historiografii, stanowi naprawdę jej legendę? Tak zdaje się myśleć H. Słoczyński. A swoją drogą ciekaw jestem, jaką to nazwę wybrałby sam Szujski dla legendy o stańczykowskiej konspiracji — „czarną” czy „białą”? A może uznałby, że to wcale nie była legenda?

<sup>77</sup> Ibid., s. 110.

<sup>78</sup> Ibid., s. 122.

<sup>79</sup> Zob. M. Jaskólski, op. cit., s. 128–129.

<sup>80</sup> „Przegląd Polski i Obcy” 1958, z. 4, s. 88, 89.



### Summary

This article is, on the one hand, a polemic with the theses presented by Henryk Słoczyński in a study entitled *Z dziejów czarnej legendy krakowskiej historiografii konserwatywnej. Józef Szujski w opiniach współczesnych i potomnych* (*From the history of the black legend of Cracow conservative historiography. Józef Szujski in the opinions of his contemporaries and successors*), published in „Kwartalnik Historyczny” 1995 (No. 3/4); on the other hand, it is an attempt at justifying the accepted polemical line by referring to the contents of one of the greatest Polish historical-political discussions conducted at the end of the nineteenth century. This discussion, generated by the three-volume work by Stanisław Koźmian, *Rzecz o roku 1863* (*On the Year 1863*), which appeared in 1894–1895, drew attention to the eventual modernisation of the former programme of the Galician conservatives (the so-called Stańczyk group). Was Koźmian, known as the head of this group, capable of creating a programme that could count on wider support? Could the role of such a programme be played by the slogans of tri-loyalty and concern for „national existence”, undefined but certainly not tantamount to independence? These are only some of the questions with whose aid the author tries to formulate his own stand as regards the so-called black legend of Cracow conservative historiography, at the same time questioning the numerous theses and appraisals proposed by H. Słoczyński.

(transl. A. Rodzińska-Chojnowska)